Łowiec Polski

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr 25.

Nr. 7. | Warszawa, 19 marca (1 kwietnia) 1900 r. | Rok II.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



CIĄG SŁONEK

Kuropatwa szara czyli pospolita

(PERDIX CINEREA, STARNA CINEREA)

PRZEZ

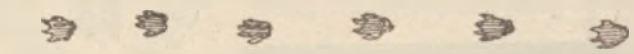
Juljana Biesiekierskiego.

Monografia nagrodzona na Konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

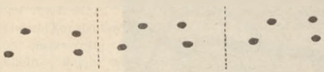
(Dalszy ciąg)

Najradykalniejszym środkiem pozbycia się lisów jest niewątpliwie trucizna, na założenie której uzyskać trzeba pozwolenia władzy. Nieopatrznie użyta, smutne następstwa spowodować może, dla tego też zachowywanie jaknajwiększej ostrożności zawsze na polecenie zasługuje.

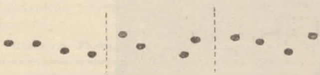
Tropy lisa



w kłusie czyli dyndującego



w regularnym galopie



w przestrachu.

Dawniejszy sposób zatruwania padliny, ptaków lub kiełbasek, jako mniej przedstawiający powodzenia, a za wiele niebezpieczeństwa, obecnie winien być mniej zalecanym. Dzisiaj używane są powszechnie tylko pigułki strychninowe, które, jeżeli będą ze znajomością rzeczy przygotowane i użyte, to okażą się niezawodnie środkiem najdoraźniejszym i najmniej niebezpieczeństwa przedstawiającym.

Najstosowniejszą porą do trucia lisów jest zawsze początek stycznia, w tym bowiem czasie zazwyczaj są one przegłodniałe i na trutkę idą o wiele chętniej. Znanych jest kilka przepisów trucia strychniną tych, tak niebezpiecznych trapicieli szlachetnej zwierzyny, lecz z dwoma tylko bliżej czytelnika zapoznamy, jako najwięcej przez myśliwych zalecanemi.

Dla łatwiejszego opisania pierwszego sposobu, rozdzielić go trzeba na 4 części, a mianowicie: 1) przyrządzenie *witerunku* czyli *odwiatru*, 2) samej *trutki, pigułki* v *gałki* z zawartością strychniny i *grzanek*, 3) *obwłoki*, oraz 4) opisu trucia.

1) *Witerunek.* Do nowego, polewanego garnka włożyć niesolonego świeżego wieprzowego szmalcu, lub takiegoż masła pół kwarty; *skromu* (tłuszczu) zajęczego dwie stołowe łyżki; *foenum graecum* łyżek 4; dwie łyżki *marum verum*; jedną białą cebulę i parę ząbków czosnku; — to wszystko na dobrze rozżarzonych z twardego drzewa węglach pół godziny przysmażyć. Następnie dodać grudkę kamfory wielkości grochu i dla nadania lepkości—dwie łyżki ociekłego z plastra miodu, a pozostawiwszy na ogniu jeszcze z dziesięć minut, mięszać, aby się nie przypaliło, świeżo zrobioną kopystką z twardego drzewa. Mięszaninę tę, zanim ostygnie, przecedzić przez kawałek czystego płótna w równych częściach do dwóch nowych, polewanym garnków, obwiązawszy je woskowanym papierem, aby wypadkiem zawartość nie przeszła obcym jakim zapachem.

2) *Pigułki* czyli *gałki* najlepsze są z bardzo cienkiego szkła, umyślnie w tym celu w hucie zrobione już z zawartością tłuczonej strychniny. Gdy jednakże zaopatrzyć się w takie szklanne gałki nie zawsze jest łatwo można takowe zastąpić lakowemi, jako dość dobrze przeciwdziałającemi wilgoci, a przy tem do zgryzienia tak samo kruchemi, jak szklanne.

Gałki te robią się w następujący sposób: trzy lub cztery gładko utoczone z twardego drzewa wałeczki, wielkości, jak fig. 1 wskazuje, na 24 godzin przed rozpoczęciem roboty gałek namoczyć w czystej wodzie. W roztopiony do stanu płynnego funt najlepszego czerwonego laku, zanurza się do linii *a* wałeczek, wprost z wody wyjęty, a oblepioną powłokę zdejmuje ostrożnie palcami. Czynność tę szybko wykonywać należy, aby lak na wałeczku nie osiadł za grubo. Oswobodzony z laku wałeczek wrzuca się napowrót do wody, a inny bierze do użycia, i t. d. postępując, w krótkim czasie, wprawiwszy się, żądaną ilość gałek wielkości, jak fig. 2 wskazuje, sfabrykować można. Następnie, z należytą ostrożnością, bez żadnych zadraśnięć na ręku i zdaleka od jamy ustnej, napełnia się gałki strychniną do linii *b* i nad lampą, lub świecą rozgrzawszy ściany przy otworze, zwolna takowe

Henryk Sienkiewicz jako myśliwy.

Notatka jubileuszowa

przez

Kazimierza Laskowskiego.

(Dalszy ciąg)

Owe Rozłogi miały jeszcze drugą dodatkową nazwę - Siromachy, a dość było spojrzeć na nie, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkają. Bogatych dworzyszczy w tych stronach, gdzie nietylko o wilka, ale i tatara nie było trudno, nie stawiano. Dworami bywały obszerne szopy, z ogromnych brewion dębowych zbite, z wązkiemi, podobnemi do strzelnic oknami. Stajnie, spichlerze i lamusy przytykały do dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, na zewnątrz tak ubogą i prostacką, że nieświadomym trudnoby ją za mieszkanie ludzi poczytać.

Tak mieszkało ówczesne rycerskie pokolenie na „okrajinie," nie dbając o zewnętrzną mizerję siedliska, bardziej do połanki kozackiej, niż siedzib szlacheckich podobnego. Z wyjątkiem obronnych grodów lub zamków magnackich, rzadko na olbrzymich stepach posianych, każdy słał sobie tu gniazdo dorywczo, nie fundując kosztownych budowli w stronach, kędy ogień z mieczem częściej ulewnego deszczu chadzały.

Ale za to wewnątrz bywała nieprzebrana moc różnego bogactwa, cennych statków i różnej dobyczy, zgoła lichemu zewnętrznemu pozorowi nieodpowiadających. Wszędzie przepych mieszał się z największą stepową prostotą. Gołe belki w ścianach pookrywane były jedwabnemi makatami, na podłodze rościełały się przepyszne wschodnie kobierce, na stołach, skleconych z prostych desek, stały roztruchany złocone lub z weneckiego szkła rznięte, na pólkach sepety paradne, nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary, swego czasu przez Turków Wenecyanom zrabowane, a przez kozaków Turkom.

A i oko myśliwego miało się tu czem napaść do syta.

Przedewszystkiem takiej sadyby stróżował chowany niedźwiedź, siadujący na słupie z kołem u szczytu. A na wewnątrz pełno broni i myśliwskiego łupu!

Na ścianach, począwszy od sieni, wysłanej skórami dzikich zwierząt, wisiały „bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, karaceny tureckie, druciane koszulki

palcami ku sobie naginać, a gdy się złączą, szczelnie zakleić. Jakolwiek malcńka bardzo ilość strychniny wystarcza do otrucia lisa, wszelako nie należy jej skąpić i przynamniej 6—8 granów sypać do gałki potrzeba.

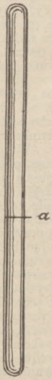


fig. 1.

Grzanki zaś przyrządza się w sposób następujący: bez domieszki soli i innych przypraw upiec kilka pszennych bułek, z których połowę pokrajać w kostki wielkości fig. 3, a drugą połowę utrzeć na nowej tarce.

Do roztopionego na węglach witerunku, wkłada się pokrajaną bułkę, aby należycie nasiąkła, areszte witerunku z utartą bułką dobrze wymięszać i tą maścią gałki lakowe równo i dość grubo oblepić. Tej ostatniej czynności nie robić palcami, ale za pomocą kopystki, aby lis nie poczuł udziału człowieka. Osobno gałki i osobno grzanki złożyć w czystych szklanych słojach, obwiązanych woskowanym papierem, przechowując do chwili użytku w suchem i przewiewnem miejscu.

3) Na *obwłokę* odziera się ze skóry królika, zająca lub kota domowego i na drewnianym rożnie obsmaża nad rozżarzonemi bez dymu z twardego drzewa węglami, smarując pieczonkę raz po raz witerunkiem, wziętym z drugiego garnka. Czynności tej dokonać najlepiej w niezamieszkałem miejscu, aby mieszkania nie zaswędzić, pieczeń zaś, obwinąwszy świeżem, zgrzebnem płótnem, powiesić na przewiewnym strychu.

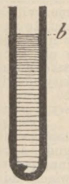


fig. 2.

4) Gdy to wszystko zostało przyrządzone, a stan powietrza nie zapowiada śnieżnej zadymki, można przystąpić do samego już *trucia* w upatrzonej przed tem miejscowości.

Pole obok lasu lub świeżo założony zagaj, kędy lisy zazwyczaj przechodzą, o czem po śladach łatwo się przekonać, najopowiedniejszym ku temu będzie terenem.



fig. 3.

Nad wieczorem, kiedy wrony zabierają się na nocny spoczynek, wyjeżdża się sankami w jednego konia, zabrawszy z sobą wszystkie przygotowane do tej czynności przedmioty.

(D. c. n.)

LIS

Notatka dla młodych myśliwych.

(Dalszy ciąg).

Skoro starym udało się potomstwo szczęśliwie wychować, wyprowadzają je na poblizkie pole i tam się już rozdzielają, polując każdy na swoją rękę. Nieraz też przy polowaniu na kuropatwy można lisa spotkać w kartoflach, koniczynie lub w zbożu. Kilka też razy przy tej sposobności udało mi się lisa zabić. Jednakże pod jesień, lub zimą zwykle lisy wracają do tej knieji, gdzie się wyprowadziły i dla tego radzę tej nocy, która poprzedza nagankę bądź na zające, bądź na innego zwierza, wszystkie nory pozatykać, lub je zawietrzyć, t. j. przy norach postawić chorągiewki z czerwonych szmat, w nafcie namoczonych lub ponadpalanych, aby silny swąd wydawały. Można też podczas naganki postawić na samych norach dobrego strzelca, gdyż lis, usłyszawszy nagankę, ucieka do nor i dlatego to tak się mało lisów zabija na nagankach, jeśli tego nie zrobimy, mimo, że w knieji jest ich nieraz więcej, jak potrzeba. Ku końcowi stycznia lisy parują się i wtedy podczas słotnej pogody zawsze je w norach znaleźć można. W tej porze należy często nory rewidować i z jamnikami pracować.

Jak już nadmieniłem, ku końcowi stycznia lub w początku lutego — względnie do pogody — budzi się w lisie popęd płciowy. W dni niemroźne samiec biega, często wśród dnia, po całym rewirze, szukając towarzyszki. W takich wypadkach czujność jego i wrodzona ostrożność znacznie słabną, jak świadczy o tem następujący wypadek. Razu pewnego jechałem polem do poblizkiego miasteczka. Było to pod wieczór. W miasteczku dnia tego był jarmark, ciągnęła więc fura za furą. W tem spostrzegłem lisa, leżącego na brzegu rowu, który dzielił grunta folwarczne od włościańskich. Leżał zwinięty w kłębek i tylko od czasu do czasu głowę podnosił, gdy podchmieleni przejezdni zbyt głośno wyrażali swe zadowolenie z dokonanych na jarmarku tranzakcyj. Odległość, jaka mnie od niego dzieliła, nie wynosiła więcej nad 50 kroków, a mimo, żem kazał konia zatrzymać, nie ruszył się, gdym strzelbę z futerału wyjął i złożył, co nie obeszło się w pośpiechu bez stuknięć i hałasu. Niestety, zgorączkowałem trochę i przestrzeliłem mu tylko jeden przedni skok. Lis zer-

ze złoconemi guzami na spięciach, nadbrzuszniki, ryngrafy, stalowe harnasze, oraz misiurki z wierzchami od srebra." Wisiały tarcze, choć ich już nie używano ni w boju ni na łowach, dziryty, kopie i oręż sieczny „od szabli do gindżałów i jataganów, których głownie migotały różnemi kolorami, jak gwiazdki w blasku ognia." Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wilczych, niedźwiedzich, kunich i gronostajowych, wzdłuż ścian drzemały na obręczach jastrzębie, sokoły i wielkie berkuty, sprowadzane z dalekich stepów wschodnich, a używano do pościgu wilków.

Bo też na tych stepach, porosłych dzikiemi haszczami, przerżniętych tu i owdzie olbrzymiemi lasy—na tej ziemi bujnej, gdzie trawy krzami niemal wyrastały, o owoc myślistwa trudno nie było. Prul stepem zwierz płowy, odyńce, niedźwiedź, stada wilcze, wynurzywszy się z dąbrowej knieji, gnały po oczeretach i burzanach, a niebo wiosną śpiewało krzykiem wszelkiego ptactwa i szumiało skrzydeł łopotem.

Takiego stepu kawał daje nam w opisie Sienkiewicz zaraz w VII rozdziale „Ogniem i mieczem." Bije taki czar, taki urok nęci, że choćby mi „Jowialskiego" przypomnieć miano—powtórzę dosłownie.

— Znacie? „Znamy!" A więc posłuchajcie...

...Była już druga połowa marca. „Trawy puściły się bujno; perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem, namiestnik jadąc na czele swoich ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, podgwizdywań, klaskań trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów: step brzmiący jak lira, na której gra ręka Boża. Nad głowami jeźdźców jastrzębie, tkwiące nieruchomie w błękicie, nakształt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żórawiane; na ziemi gony zdziczałych tabunów: ot! leci stado koni stepowych, widać je, jak porą trawę piersią, idą jak burza i stają jak wryte, otaczając jeźdźców półkolem; grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy zdziwione. Rzekłbyś chcą roztratować nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze i pierzchają nagle i nikną równie szybko, jak przybiegły — jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą. Tętent ucichł, znowu słychać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek wśród tej radości, niby gwarno a pusto — o! a szeroko, a przestronno! koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę pustosz, te stepy pokochać i tęskną duszą krążyć nad niemi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słuchać i odpowiadać."

Przepiękny obraz!

Takim był ów step, pachnący, śpiewny, nie mniej dziki i straszny, rycerską tylko i myśliwego stopą deptany, zarówno zapasów wojennych, jak i wypraw łowieckich *teatrum*.

wał się, ubiegł paręset kroków, siadł i począł gryźć, czy lizać zranioną nogę. Jednakże na strzał już nie dopuścił i wkońcu zniknął w sąsiednim lesie.

Lis podczas cieczki, natrafiwszy na tropy liszki, biegnie tym samym śladem, co i ona, tak, że się wydaje, jakby tylko jedna sztuka przeszła. Dopiero tam, gdzie liszka odcina się od zbyt natrętnego konkurenta, lub bawi się z nim, poznać można, że było ich dwoje. Bywa nikiedy, że dwa lub trzy samce biegną za jedną liszką. Naganiawszy się tak noc całą, zwykle nad rankiem, kładą się przy norach, a przy niepogodzie — włażą do nich.

Jest to doskonała chwila do zdobycia niezłego jeszcze futerka na lisiurę. Każdy dobry myśliwy powinien bezwarunkowo znać wszystkie nory, znajdujące się w jego rewirze i w czasie ponowy rewidować je, a gdy śniegu niema, z jamnikiem, na sznurku prowadzonym, przekonać się, czy są zamieszkane lub nie. Przekonawszy się, że lis lub kilka lisów w norze się znajduje, powinien wychody pozatykać lub zawietrzyć, t. j. położyć u wylotu nadpalony papieros lub szmatę i jaknajspieszniej postarać się o paru ludzi z łopatami, motykami, i siekierą, jeśli można jednego lub dwóch myśliwych z flintami, a co najważniejsze, o parę dobrych jamników. Wtedy, przybliżywszy się jaknajostrożniej do nory, puścić do niej jednego tylko, najlepszego psa. Dobry jamnik, skoro tylko poczuje lisa w norze, natychmiast do niej wskakuje; w przeciwnym razie biega od wylotu do wylotu, a jeśli nawet wlezie do nory, to wnet ją opuszcza, z piasku się otrząsając i więcej do niej nie wraca. Jeśli tylko lis znajduje się w norze, w tej chwili rozpoczyna się bójka, co słychać, przykładając ucho do ziemi. Wtedy myśliwy powinien ludziom pokazać, gdzie kopać mają, *ub* jeśli nory znajdują się na równinie w piaszczystym gruncie, bowiem kopać wśród kamieni lub pod górą — daremna fatyga.

Gdy ludzie kopią, myśliwy — lub kilku, powinni pilnie strzedz wszystkich wylotów nory. Kopać należy tak, aby nora została odkryta poza lisem, który powinien się znajdować pomiędzy odkrytym przekopem i jamnikiem. Niekiedy stary, wyszkolony lis leży przed jamnikiem kilka godzin i odcina się, nie wyskoczywszy; innym znów razem, szczególniej, gdy lis jest młody i niedoświadczony, już po kilku minutach wyskakuje z nory jak strzała i wtedy potrzeba dobrego strzelca, aby go nie opudłował.

Jeżeli lis nie chce wyskoczyć, a ludzie natrafili na norę, pies usłyszawszy, że mu pomoc z góry nadchodzi tembardziej będzie przeciwnika atakował, choć i jemu się dostanie od lisa, jednakże nie ustąpi. Odkrywszy lisa, należy go szczypcami lub oścą, umyślnie na ten cel sporządzonemi, schwycić i przytrzymać, trzeba jednak przytem pilnie baczyć, aby psa nie skaleczyć, bowiem pies i lis są tak piaskiem zasypane, że zrazu trudno nam jest rozpoznać naszego wroga od przyjaciela. A jeszcze ostrożniejszym należy być ze strzałem. Unikać też strzelania przy samym wylocie nory, gdyż wstrząśnienie powietrza bywa wtedy tak silne, że psa można ogłuszyć i na zawsze go zrazić do tego rodzaju polowania. Wogóle strzelać należy bardzo ostrożnie i tylko w ostatecznym razie, starając się trzymać lufy o kilka łokci od wylotu nory.

Niezawsze jednak idzie tak gładko. Lis ucieka często z jednej podziemnej galeryi do drugiej, nie dotrzymując młodemu psu, w skutek czego trzeba robić przekopy w różnych miejscach, aż w końcu jamnik wyłazi okaleczony i nie chce wracać do nory. Wtedy można użyć jeszcze jednego środka, aby dopiąć pożądanego celu. Ludziom, kopiącym norę, oddaje się psy i każe im się od nory z hałasem i śpiewami odejść. Lis, chociaż głęboko w norze siedzi, słyszy doskonale, co się na powierzchni ziemi dzieje. Tymczasem myśliwy lub myśliwi rozstawiają się z przygotowaną bronią przy wylotach nory, zachowując się jaknajciszej i pilnując bacznie wylotów. Po upływie pewnego czasu, lis w mniemaniu, że napastnicy już odeszli, ostrożnie wysuwa się z nory i jeśli nic podejrzanego nie zauważy, wyskakuje z niej jak z procy, a gdy trafi na fuszera, po jego nieszkodliwych strzałach eleganckiem machaniem puszystej kity mówi myśliwym: „Bądźcie zdrowi". Zdarza się też, że nawet bez salwy honorowej ulotni się, wyskoczywszy z nieznanej jakiejś nory poza plecami myśliwego.

Dla prawdziwego myśliwego takie polowanie ma rzeczywisty urok, bo rzadko obejdzie się bez jakiej przygody, a zresztą odbywa się w takiej porze roku, kiedy inne polowania do przeszłości i przyszłości należą. Opowiadał mi mój ojciec następujące zdarzenia z lisem. Brat jego starszy, a mój stryj, był myśliwym w całem znaczeniu tego wyrazu, a tem samem nieubłaganym wrogiem wszystkiego, coby przyczynić mogło ubytek w szlachetnej zwierzynie — więc i lisów. Mając kiedyś otropionego lisa w norach, zabrał mego ojca i jego przyjaciela, obu młodych, bo 20-to letnich młodzieńców. Pomimo doskonałych jamników, lis wyskoczyć nie chciał, więc stryj, którego pilne sprawy gdzieindziej ciągnęły, pozostawił przy norach obu młodych nemrodów, nakazując im dobrze wylotów pilnować; ludzi zaś z psami odesłał do domu, zalecając im, aby to wykonali z krzykiem i hałasem. Zrazu młodzi ludzie zastosowali się do danej im instrukcyi, lecz niezadługo zaczęło im się nudzić i w końcu kolega mego ojca pokazał mu na migi, że wartoby fajeczkę zapalić (papierosów wtedy jeszcze

---

Częściej tu co prawda świszczały strzały tatarskie, częściej grały trąby wojenne, niż róg myśliwski, niemniej w czasach pokoju, bawiono się po stannicach myślistwem, uderzał lotny sokół na stadka czaple lub żórawie, brano arkanem wilki, szczuto liszki, *exemplum* pani Michałowa Wołodyjowska, bardzo w takiej zabawie smakująca.

Niedźwiedź, jeleń, odyńce nie były też obce tym stronom, bo już pod Perejasławiem ciągnęły się nieprzebyte knieje, gąszcz niebotycznych dębów, głuche lasy brzeziny i grabów, rosnące wzdłuż brzegu Trzebieży aż do Kosielca i dalej pod sam Czernihów. Nie były to wprawdzie one puszcze litewskie lub żmujdzkie, któremi liczni Domaszewicze za tropem niedźwiedzim chadzali, ale bodaj że jeszcze dziksze, groźniejsze, bo zostawione same sobie, bez sadyb ludzkich, bez dymów smolnych, o bliskości człowieka świadczących. Jednakże te gąstwy niepomierne, zwarte, duszne nawiedzał niekiedy ogień i niszczył do pnia.

Podpalali tedy plądrujący tatarzy, paliło kozactwo, torowały sobie drogę ogniem załogi stepowe. Przez taki płonący bór szło *illo tempore* wojsko Jeremiego.

„Ogień szerzył się gwałtownie. Nocami niebo czerwieniło się, jak okiem dojrzał. Przerażony dziki zwierz z płonących borów chronił się na trakt i ciągnął za taborem, mieszając się ze stadami domowego bydła. Dymy przysłaniały cały widnokrąg. Wojska i wozy posuwały się jak we mgle gęstej, przez którą wzrok nie sięgał. Światło słoneczne nie mogło się przebić przez te tumany i nocami było widniej niż w dzień, bo świeciły łuny."

Miała też dusza myśliwska w tych borach swoją uciechę, tylko nie w onych czasach, gdy pan Zagłoba najsamprzód sam, a później z Wołodyjowskim i Rzędzianem, kniaziównę z ręki Bohuna dobywał.

Wtedy wilcy włóczyli się po stepach i zarzynali konie, nic na podeszły wiek pana Onufrego nie zważając, że musiał wbrew godności szlacheckiej *per pedes* dalszą podróż odbywać, dniem płowy uciekał wraz z człowiekiem przed bzykaniem strzał i szczękiem szabel, a chłopstwo spijało miód taki przedni, że na sam widok onego naruszenia praw „urodzonych," ochota odchodziła.

Lepiej już bywało za rządów pana Michała w Chreptiowie.

(D. c. n)

nie palono), na co ojciec mój również niemą pantominą, zgodził się. Ostrożnie więc obaj wyjęli swe fajeczki, lecz jeszcze nie zdążyli nałożyć ich tytoniem, gdy wyskoczył z nory lis, co tak zdetonowało obu myśliwych, że zamiast schwycić strzelby i palić do uciekiniera, wołali tylko jeden na drugiego: „Czy widzisz go?" Później jeden drugiego obwiniał, lecz było już zapóźno.

Niektórzy myśliwi, w braku psów, starają się lisa wypędzić z nory przy pomocy dymu. W tym celu zatykają szczelnie wszystkie wyloty ziemią, słomą i gałęziami, zostawiając tylko dwa, to jest ten, przy którym zapala się ogień i drugi na przeciwnej stronie, przeznaczony na ucieczkę lisa. Na ogień nakłada się owsiana słoma, szmaty i t. p. — wogóle przedmioty dające dużo i gryzącego dymu. Należy baczyć, aby dym wychodził tylko tym wylotem, którym lis będzie uciekał.

Zdarzają się też myśliwi, najczęściej kłusownicy, którzy w braku jamnika dymią norę, zatykając wszystkie wyloty, aby tym sposobem lisa udusić. Trwa ta operacya kilka godzin, aż póki biedny zwierz, szukając wyjścia, nie podejdzie do wylotu nory i tam nieżywy pada. Uważam ten środek za barbarzyński i niegodny prawdziwego myśliwego. „Man ehre den Schöpfer im Geschöpfe!" i słusznie mogliby nas ludzie, nieprzychylnie usposobieni dla łowiectwa, nazwać nietylko rzeźnikami, ale nawet katami. Mamy tyle środków tępienia lisów, że zbytecznem byłoby się uciekać do tak barbarzyńskiego. Największy nawet przestępca ma w sobie jakąś dobrą iskierkę, a i lis ma dla nas swą dobrą stronę, że przytoczę tylko tę masę myszy, jakie on tępi rok rocznie, o czem przekonałem się, zabiwszy te dwa, o jakich powyżej wspomniałem. Prawda, że dla hodowcy jest to wróg nieubłagany, lecz dla myśliwego stanowi zawsze miłą i pożądaną zdobycz. Ja przynajmniej nie uważam naganki za udaną, jeśli na rozkładzie nie znajduje się jeden lub kilka lisów.

(D. n.).

Hugo Herrman.
Nadleśniczy lasów Zasławskich.

PUSTUŁKA.

Czas masowego przelotu drapieżnego ptactwa już się rozpoczyna, a tem samem czas tępienia wszelkiego rodzaju nieprzyjaciół łowiectwa w tych majątkach, gdzie strzałowe zostało zaprowadzone. Rzecz to bardzo chwalebna, o ile się niszczy te ptaki, które rzeczywistą szkodę łowiectwu przynoszą, gdy jednocześnie dla interesów rolnictwa są zupełnie obojętne. Lecz znajdują się między niemi, na nieszczęście, i takie, które, nie tykając nigdy naszych kuropatw ani naszych zajączków, przyczyniają się niemało do oczyszczenia pól z wszelkiego rodzaju szkodników, jak myszy, polniki, susły, chomiki, a wreszcie szkodliwe dla rolnictwa owady. Całą winą tych drapieżników jest ich wygląd zewnętrzny i pokrewieństwo ich blizkie z prawdziwymi nieprzyjaciółmi naszych zwierzostanów. Pomiędzy temi drapieżnikami, których za prawdziwych sojuszników człowieka uważać należy, pierwsze miejsce zajmuje pustułka. W obronie jej głos niejednokrotnie zabierałem, uważam sobie wszelako za obowiązek ponownie sprawę jej podnieść, boć nie wszyscy myśliwi, a szczególniej myśliwi-hodowcy moje nawoływania usłyszeli. A sprawa to wielkiej ważności, stokroć większej, niż się to niejednemu wydaje. Pustułka jest najpospolitszym z naszych ptaków drapieżnych, a tem samem najwięcej na tępienie wystawioną, do czego niemało też przyczynia się jej dowierzający względem człowieka charakter. Żadnego drapieżnika tak łatwo zejść nie można, jak pustułkę, dzięki czemu użyteczna ta ptaszyna masami ginie od strzałów straży leśnej i polowej, a nawet i samych myśliwych. Śmiało rzec można, że ¼ zabitych na danym majątku drapieżników stanowią pustułki. To też kraje wysoce ucywilizowane, jak np. Niemcy, uważały za niezbędne położyć tamę temu nieroztropnemu tępieniu użytecznych ptaków, otaczając je prawami ochronnemi.

Użyteczność myszołowa lub niektórych sów kwestyonują nietyle przyrodnicy, ile ten czy ów myśliwy-teoretyk; co się zaś tycze użyteczności pustułki, to niema dwóch zdań i wszyscy zgadzają się, że tępienie jej stanowi występek przeciw ekonomicznym interesom kraju. Dlatego nigdy nie będzie za wiele przypominać, że niezbędnem jest zabronić strzelcom mordowania tych niewinnych a wielce użytecznych ptaków we wszystkich majątkach, gdzie strzałowe zostało zaprowadzone.

Aby jednak położyć tamę tępieniu pustułek, trzeba ją przedewszystkiem znać i w tym celu podjąłem niniejszą pracę, w nadziei, że choć w części przyczynię się do ukrócenia tak nieroztropnej gospodarki, jaką się powszechnie u nas prowadzi.

Pustułka (*Falco tinnunculus*) jest to niewielki sokolik, którego łatwo poznać po rudawiznie pierza i po zachowaniu się. Stary samiec posiada głowę i kark popielate z wązkiemi czarnemi podłużnemi kreskami. Plecy i część złożonych skrzydeł są cynamonowo-rdzawe z dość rzadkiemi, czarnemi, trójkątnemi plamami. Pod każdem okiem znajduje się czarniawa duża plama, biegnąca skośnie od góry ku dołowi. Spód jest rdzawo płowy, upstrzony podłużnemi czarnemi kreskami; tylko gardziel i podogonie są płowe bez żadnego upstrzenia. Ogon jest popielaty, z szeroką czarną pręgą ku końcowi. Same końce starówek są białawe. Nogi ma pustułka żółte, oczy ciemno brunatne.

Samica dość znacznie różni się od samca swem ubarwieniem, a mianowicie, posiada całą głowę wraz z plecami i zamkniętemi skrzydłami rdzawo-rude, upstrzone podłużnemi, grubemi, czarnemi strychami, które na zamkniętych skrzydłach przechodzą w trójkątne plamy, lub poprzeczne pręgi. Spód ciała jest podobnie jak u samca ubarwiony, tylko że podłużne czarniawe strychy są szersze i bardziej rozlane. Wreszcie ogon z wierzchu nie jest popielaty, lecz rdzawo-rudy, a na nim 12 poprzecznych czarnych pręg i jedna szeroka, także czarna przedkońcowa taśma. Spodnia część ogona jest biaława, a na niej tak samo występuje owe 12 pręg węższych i jedna szersza, przy końcu ogona położona.

Młode są do samicy z ubarwienia podobne, a odróżnić je tylko można po jasno-płowych obrzeżeniach piór na górnej powierzchni ciała i po białawych obrzeżeniach lotek.

Jedynym sokolikiem, zbliżonym nieco z wyglądu do pustułki, jest samica lub młody drzemlik (*Falco aesalon*), łatwo jest go jednak przy jakiej takiej wprawie nawet zdaleka wyróżnić, posiada bowiem ogon i skrzydła znacznie krótsze, aniżeli pustułka, a przytem w ubarwieniu jego, jakkolwiek przebija kolor rdzawy, w mniejszym jednak znacznie stopniu. W ruchach też swoich jest drzemlik daleko żywszy i zwrotniejszy, aniżeli pustułka, której lot jest zwykle dość powolny. Ta ostatnia lubi też zatrzymywać się często w locie, trzepiąc się na jednem miejscu, co czyni zwykle przy wypatrywaniu zdobyczy na ziemi. Ten jej zwyczaj tak jest dla niej charakterystyczny, że skoro zobaczymy nad polem sokolika, unoszącego się w jednem miejscu, jakby zawieszonego w powietrzu, mamy wszelką szansę przypuszczać, że jest to pustułka, a tem samem unikamy niepotrzebnego strzału.

Pustułka zamieszkuje całą Europę i północną Azyę, skąd na zimę wędruje do Afryki północnej, do Azyi Mniejszej, Chin oraz Indyj Wschodnich. Niekiedy w swych przelotach zimowych dosięga południowej Afryki i wysp Seszelskich. U nas pojawia się w drugiej połowie marca lub w początkach kwietnia i przebywa aż do drugiej połowy października.

Lęże się w dziuplach wypróchniałych drzew, starych murach lub w rozpadlinach skał, a gdy odpowiedniego miejsca nie znajdzie, zajmuje opuszczone wronie gniazda, które odpowiednio wyściela suchą trawą lub perzem. Samica niesie 4 do 7 jaj koloru ceglasto-rudawego, upstrzonych ciemnemi plamami, których rozkład licznym ulega zmianom.

Pożywienie pustułki stanowią przedewszystkiem drobne gatunki gryzoniów, jak myszy, polniki i t. p.

a także różne gatunki owadów, jak skoczki polne, szarańcza, chrząszcze i świerszcze. Owady łowi niekiedy w lot bardzo zręcznie. Napada niekiedy na pisklęta drobnych ptaszków, dorosłe zaś bierze tylko siedzące na ziemi, a nigdy w lot ich nie goni. Widzimy więc, że karmiąc się przeważnie szkodnemi gryzoniami i owadami, a w rzadkich tylko wypadkach niszcząc drobne śpiewające ptaszki, oddaje znakomite usługi rolnictwu, nie przyczyniając najmniejszych szkód w zwierzostanach. Patrzeć przeto na nią powinniśmy jak na prawdziwego naszego przyjaciela, a nie jak na wroga, którego tak niemiłosiernie tępimy.

W jaki sposób ukrócić nierozważne wystrzeliwanie pustułek? Aby odpowiedzieć na to pytanie, zaproponuję cały szereg środków, które jeśli niezupełnie zapobiegną tępieniu tego użytecznego ptaka, to w każdym razie przyczynić się mogą do zmniejszenia ich masowego wystrzeliwania. Środki te są następujące:

1. W każdym majątku, gdzie zaprowadzono strzałowe, powinna się znajdować para (samiec i samica) wypchanych pustułek, które łatwo jest nabyć za cenę paru rubli u warszawskich preparatorów. Ptaki te pokazać strzelcom, straży leśnej i polowej, aby się z niemi obznajmili. Ludzie ci, zwykle doskonałym wzrokiem obdarzeni, łatwiej odróżnią pustułkę od innego drapieżnika, choćby na znaczny dystans, aniżeli pierwszy lepszy myśliwy.

2. Znieść strzałowe od pustułek, a nadto najsurowiej zabronić strzelania ich.

3. Ponieważ kontrola strzałowego odbywa się zwykle przy pomocy oberzniętych i wysuszonych nóg, a potrzeba doskonałego znawcy, aby po takich dokumentach rozróżnić pustułkę od innych drobnych drapieżników, zmienić przeto ten system i do kontroli żądać oberzniętych ogonów, po których łatwo jest wyróżnić wszelkie drapieżniki jedne od drugich.

4. Zwiększyć o $\frac{1}{4}$ strzałowe od wszelkich innych drapieżnych ptaków, co łatwo nam przyjdzie, oszczędzając na strzałowem od pustułek.

5. Na polowaniach letnich i jesiennych prosić gości, aby do pustułek nie strzelali.

Jeśli te środki będą stosowane we wszystkich majątkach, gdzie gospodarstwo łowieckie jest prawidłowo prowadzone, to sądzę, że szkoda, jaką czynimy sobie samym, wybijając pustułki, do minimum zredukowaną zostanie.

Jan Sztolcman.

Skuteczna metoda tępienia wron.

(CORVUS CORNIX).

Jakkolwiek najwięksi ornitologowie kruszą kopie o wronę, poczytując ją za ptaka pożytecznego, myśliwy, na szczęście, mało zważają na te nauki i nie uwierzą w nie, chociażby 95% zbadanych żołądków wronich wykazywało tylko pożywienie roślinne.

Myśliwy wie dobrze, z jaką przebiegłością i zuchwałością, przewyższającą znacznie chytrość i odwagę lisa, operuje wrona. Obserwujmy ją tylko, gdy na wiosnę, podczas lęgu, bobruje od krzaka do krzaka, po polach, łąkach i zagajnikach. Biada wtedy zajączkom, gniazdom bażantów i kuropatw. Niemniej niebezpieczną dla drobnej zwierzyny jest sroka, tępienie zatem obu tych rabusiów jest koniecznością absolutną. Nie wolno cofać się przed żadnym środkiem. Proch i ołów tutaj nie wystarcza, trzeba zatem prowadzić akcyę niszczącą przy pomocy trucizny.

Od lat wielu eksperymentowano przeróżnemi truciznami, ale bez spodziewanego rezultatu. Kawałki mięsa, małe rybki i kurze jaja, zatrute strychniną, oszukały czasem chytrość wrony, skoro jednak wrona zdechła na miejscu, reszta kąsków zatrutych pozostawała nietkniętą i setki wron krążyły znowu po rewirze myśliwskim. Ztąd też stało się jasnem, że chcąc gruntownie wytępić wronę, trzeba zastosować taką truciznę, któraby działała dopiero po upływie kilku godzin.

Środek poniżej podany zdziałał w ciągu bezśnieżnej, słabej zimy w r. 1899—cuda, w przeciągu czterech tygodni można było skonstatować znaczne zmniejszenie się liczby rabusiów, tak w rewirze, w którym zakładano truciznę, jak w rewirach okolicznych, w których wcale nie przeciwdziałano pladze wron.

„Zwinger und Field," z którego czerpiemy tę wiadomość, pisze, że aptekarz nie chciał się podjąć przyrządzenia zaleconej mikstury fosforu, więc myśliwy sam się podjął czynności przygotowania trucizny.

Wiedząc, że fosfor topnieje w gorącu 45 stopni, nastawił zwyczajną maszynkę spirytusową do odgrzewania mleka i t. p. i postarał się o emaliowany, około $\frac{1}{4}$ litra mieszczący rondel z rączką do 20 centymetrów długą. W naczynie to nalał 200 gr. gliceryny i dołączył ostrożnie, unikając wszelkiego tarcia, 25 gramów fosforu w laseczkach, nabytego w aptece, a przechowywanego w buteleczce pod wodą. Mikstura ta gotowała się na maszynce, a przyrządzający mieszał ją bezustannie długim patykiem. Trzeba przytem zważać, żeby fosfor pokryty był warstwą gliceryny conajmniej na 2 centymetry grubości, łatwo bowiem się zapala. Po kilku minutach można było dokładnie przez klarowną glicerynę rozpoznać, że fosfor topnieje. Skoro stał się płynnym zupełnie, usunięto rondel z maszynki i dosypywano w krótkich pauzach, mieszając miksturę bezustannie pewną ilość białego bolusu, aż wreszcie powstała ciecz gęsta jak syrop. Recepta była zatem skończona. Bryndzowatą tę mieszaninę z fosforu zlano następnie w stężałą, wolną od wody, krew bydlęcą—wypełniającą całą beczkę, zawierającą około trzech kubełków—i całą tę „zupę" mieszano potem silnie przez 10 minut, ażeby mikstura z fosforu należycie rozdzieliła się w większej masie krwi bydlęcej. W końcu domieszano do tej mikstury tyle ospy, że wytworzyła się zupełnie sztywna papka. Słaba ta mikstura fosforu działa bezwarunkowo zabójczo na ptaki, natomiast, jak stwierdzono, może połakomić się bezpiecznie na zatruty kąsek pies i t. p. Truciznę tę zakładano w dużych, zdaleka widzialnych plackach, tam, gdzie widywano wrony codziennie.

Osiągnięto nadspodziewanie wielkie rezultaty. Wrony zniknęły, jakby wymiótł. Oczywiście trzeba bezustannie mieć się na baczności, żeby czasem nie pojawiły się wrony-przybłędy.

Dobrym środkiem na wrony jest też zalecany przez królewską nadworną aptekę w Poczdamie „Radicalin"—skutek bywa istotnie radykalny! Wrony, które połakomiły się na te trutki lub zatrute niemi jaja, zdychały także *dopiero po upływie kilku godzin*, co jest bezwarunkowo potrzebne, jeżeli środek ma stale działać skutecznie. Mikstura na wrony nie powinna pod żadnym warunkiem być tak silną, żeby wrona zdychała na miejscu. Jeden taki wypadek wzbudzi podejrzliwość całego stada i można być pewnym, że następnie wszystkie trutki pozastaną nienaruszone, tak jak przynęty przy zardzewiałem żelazie na lisy.

TOK CIETRZEWI.

Smutno w duszy myśliwego, kawał czasu dzieli go jeszcze od nowego sezonu jesiennych i zimowych polowań. Po rozkosznej przeszłości pozostało tylko miłe wspomnienie. Odczuwa to pewnie każdy z kolegów myśliwych, układając wierną flintę do pudła na letarg nowego sezonu martwego. *Nolens volens* trzeba się ostatecznie zgodzić z nieubłaganą koniecznością, zawsze jednak, nawet w najkrytyczniejszych chwilach, przychodzi na myśl każdemu jakieś: „a może" — jakaś iskierka nadziei.

Czyszczę więc moją flintę i układam do pudła, a tu coś mi jakby szepcze do ucha, że może i na wiosnę będzie jeszcze potrzebna, boć przecie zatokuje cietrzew, zagra głuszec, słonka zachrapie i zaćwierka na ciągu, a i kaczor nie będzie do pogardzenia. Nie mamy, co prawda, tu, w Królestwie, tego obficie, ale może kto z dobrych kolegów myśliwych z Polesia lub Litwy zaprosi, więc będzie zabawa i myśliwski animusz znajdzie sobie ujście. Wobec tej błogiej nadziei sądzę, że nie będzie od rzeczy, jeżeli podam tu trochę wiadomości o tokowaniu cietrzewi i polowaniu na nie na tokowisku.

Zwykle już w końcu lutego i pierwszych dniach marca cietrzewie gdzieniegdzie zaczynają bełkotać na drzewach, a w końcu marca, jak tylko znikną śniegi i zacznie przygrzewać słońce wiosenne, obierają sobie pola, polany, łąki lub leśne poręby na tokowisko. Tok nie formuje się odrazu, ale stopniowo i to zawsze prawie rok rocznie na jednych i tych samych uprzywilejowanych miejscach, chyba że jakaś przeszkoda zmusi cietrzewie do wybrania innego miejsca na tokowisko. Na takiem tokowisku najpierwej zjawia się jeden cietrzew, a następnie w ciągu kilku ranków, jeżeli pogoda sprzyja, zbiera się ich cała gromada. Cietrzew, który pierwszy zjawił się na tokowisku, jest jakby prowodyrem, trzeba go oszczędzać, inaczej cały tok może być zepsuty, albo, mówiąc po myśliwsku, rozbity; reszta cietrzewi rozleci się na wszystkie strony i każdy będzie tokował oddzielnie na rozmaitych miejscach.

Przy rekognoskowaniu tokowiska zachowywać się trzeba bardzo ostrożnie i nigdy blizko nie podchodzić do niego, ale wypatrywać zdaleka i z ukrycia. Jeżeli cietrzewie obiorą tokowisko na polu, to miejscem jego bywa zwykle ugór; oziminy i podorywy nie przypadają im do gustu. Tokowisko na polu odznacza się charakterystycznemi cechami zgrzebanej miejscami ziemi, cietrzew bowiem w czasie tokowania drapie ciągle nogami, jak również pozostawia dziwaczne tropy, odciśnięte przy „czuszykaniu," połączonem z podskokami.

Po dokładnem zbadaniu miejsca tokowiska stawia się na niem budka, albo kilka budek, stosownie do obszaru, zajętego pod tokowisko. Zwykle ustawia się budkę na gładkiej powierzchni ziemi, albo kopie się dół i nad niem robi się budę z choiny. Do budowy budek używa się gałęzi choiny, a najlepiej drzewka młodej choiny. Kształt stożkowaty budki jest najodpowiedniejszy. Otwarta budka u góry nie jest praktyczna, przelatujący bowiem cietrzew może zobaczyć myśliwego i zrazić się do tokowiska. Również taka budka może skusić do strzału w locie, co stanowczo nie powinno być praktykowane, chyba że tok marny, na którym już się nie opłaci drugi raz polować.

Najlepiej jest ustawiać budki na kilka dni przed polowaniem, żeby cietrzewie przyzwyczaiły się do nich. Uważać przytem należy, żeby otwór wchodowy do budki był zakryty gałęzią, bo próżne wnętrze wzbudzać będzie w cietrzewiach podejrzenie zdrady. Nie stawiać budki na samem tokowisku, ale przynajmniej kilkanaście kroków od niego.

Kiedy cietrzewie już się dobrze utokowały koło budek i nie stronią od nich, można wtedy zacząć polowanie z pewną nadzieją dobrego sukcesu, byleby pogoda sprzyjała. Naturalnie ciepły piękny ranek najbardziej sprzyja dobremu tokowaniu; przymrozek też go niebardzo psuje, jedynie wiatr i słota fatalnie na nie oddziaływają i w takim razie lepiej polowanie odłożyć. O brzasku dnia, jak tylko odrobinę zabieli się na wschodzie, trzeba już zasiąść w budzie i natychmiast ze wszystkich stron porobić pomiędzy gałęziami nieznaczne otwory niby strzelnice. Dobrze jest też w dzień ponaznaczać małemi gałązkami choiny mety, z budki bowiem oko myli się bardzo w określeniu odległości. Jeżeli nie odznaczyło się mety, to jedynym znakiem odpowiedniej odległości na pewny strzał jest wyraźny widok nóg cietrzewia w czasie jego tokowania.

Skoro tylko cietrzewie zaczną zlatywać się na tok, zaleca się spokój jaknajwiększy — palenie papierosa do dnia w całej pełni wyklucza się zupełnie. Zaledwie raz, dwa zaśpiewa skowronek, wnet, jakby na apel, zaczyna odzywać się czuszykanie cietrzewi i w tejże prawie chwili zjawia się pierwszy prowodyr na tokowisku. Potężnem czuszykaniem, a następnie kilku urwanemi bełkotaniami oznajmia o otwarciu zabawy; śpieszą więc goście na nią, ten na skrzydłach, ów pieszo, pozdrawiając się wzajemnie miłem dla ucha myśliwego *czu-u-szy*. Po jakim kwadransie cała drużyna jest już na miejscu, bełkocze i raźnie czuszyka, gdzieniegdzie dają się słyszeć wojownicze ku-kur, a łopotanie skrzydeł oznajmia walkę jakichś dwóch zaciętych antagonistów. Szaro jednak i mało co widać, jedynie czernią się niewyraźne sylwetki i bieleją rozpuszczone ogony tokujących cietrzewi. Strzelać jeszcze nie wolno, aż dopiero przed wschodem słońca, kiedy zupełny dzień zajaśnieje, blask bowiem strzału spłoszyłby cietrzewie, zabawa byłaby skończona, a tok przepadły.

Prowodyr, jak powiedziałem, powinien być oszczędzany, dla tego też od czasu pojawienia się jego na tokowisku trzeba bacznie zwracać uwagę, gdzie się on znajduje. Wybierać chwilę do strzału, kiedy wszystkie cietrzewie zajęte są tokowaniem i jeżeli który z bliższych nie tokuje, to właśnie najpierwej takiemu w łeb palić, żeby po strzale nie zerwał się i nie spłoszył reszty cietrzewi. Jeżeli się cietrzewia postrzeli i ten ucieka, nie wychodzić z budki i nie łapać go. Po kilku strzałach cietrzewie odlecą, czekać tedy spokojnie, a za chwilę znów powrócą. Kto umie dobrze udawać czuszykanie, to po odlocie ich dobrze w ten sposób zawabić na nie.

Zwykle w połowie toku przylatują cieciorki, wtedy więc trzeba zdwoić ostrożność, bo płeć piękna, jak zawsze i wszędzie ciekawa, łatwo może dopatrzeć myśliwego w budzie. Po pojawieniu się ich prędko szczęśliwi wybrańcy zaczynają odlatywać z paniami serc swoich w leśne ustronia, by spędzić sam na sam chwile miłosnego upojenia. Wzgardzeni zaś przez płeć piękną cietrzewie bełkoczą na toku dalej w błogiej nadziei, że pieśń ich miłosna i stałość zapałów nakoniec trafi do serc nadobnych cieciorek.

Siedzieć trzeba w budzie, aż tok zupełnie się skończy i cietrzewie polecą do lasu. W półtorej godziny mniej więcej po wschodzie słońca tok już się kończy. Po wyjściu z budy wejście do niej zasłonić gałęziami. Skoro myśliwy zachował się na toku ostrożnie, to za dni kilka znów można powtórzyć polowanie. Jastrząb i lis są bardzo nieporządanemi gośćmi na tokowisku, a szczególnie ten drugi. Po paru razach odwiedzin jego tok napewno się rozproszy, albo w najlepszym razie cietrzewie staną się tak płochliwe, że po jednym strzale odlecą z tokowiska i już nie wrócą.

Jeżeli tok jest rozbity i cietrzewie tokują pojedynczo na dużej przestrzeni, to wtedy można użyć podchodnej budki. Taka budka robi się z trzech związanych listwami obręczy, u dołu szerszej, a górnych węższych, tak, żeby miała formę mniej więcej uciętego stożka. Połączone obręcze pokrywa się gęsto świerkowemi gałązkami. Wewnątrz przymocowują się taśmy do dźwigania jej na ramionach. Wysokość takiej budki powinna przewyższać wzrost myśliwego, tak, żeby głowa u góry miała dość swobodnego miejsca, a dół zupełnie zakrywał nogi. Podchodzić trzeba bardzo ostrożnie i tylko w czasie tokowania cietrzewia. Z urwaniem bełkotania należy w tej chwili stanąć i stać nieruchomo, aż cietrzew znów zatokuje. W ten sposób można podejść go na jakie trzydzieści kroków i naturalnie zabić bez pudła.

Edward Orda.

Psy Gończe Angielskie.

(Dalszy ciąg).

7. *Otterhound'y (psy wydrowe).*

Jestto jedyna ostrowłosa rasa gończych w Anglii. O pochodzeniu jej żadnych pewnych danych niema, podobieństwo jednak otterhound'ów do dawnych ras gończych francuzkich (oprócz jedynie uwłosienia) jasno wskazuje, że one służyły za główną podstawę do utworzenia tej rasy.

Zdania angielskich i francuzkich autorów znacznie się różnią w tej kwestyi, a często są bardzo naiwne. Najprawdopodobniej objaśnić można pochodzenie psów wydrowych następującym sposobem: na północy Anglii i w Szkocyi istniała przed wiekami miejscowa rasa psów ostrowłosych, która skrzyżowana z chartami Celtów wydała szkockich dearhound'ów. Po wprowadzeniu przez normandów psów francuzkich, krzyżowano je na północy Anglii z temiż psami ostrowłosemi, dla nadania im większej odporności na wpływy klimatyczne, przez co, powstała rasa północnych, lżejszych gończych, o której już mówiłem. Rasa ta dzieliła się na dwie odmiany: krótkowłosą i ostrowłosą i ta właśnie ostrowłosa odmiana była początkiem obecnej rasy psów wydrowych.

Polowanie z psami na wydry i bobry znane było w Brytanii w wiekach bardzo odległych; że wymagało ono jednak psów z bardzo silnym wiatrem, a gończe normadzkie i pochodzące od nich gończe północne posiadały ten przymiot w stopniu nierównie wyższym od ras miejscowych, naturalnym więc porządkiem rzeczy zastąpiono niemi psy, dawniej używane do tego rodzaju polowania. Również łatwem jest do zrozumienia, że wybrano odmianę ostrowłosą, bardziej przystosowaną do pływania w zimnej często wodzie lub biegania po kamienistych brzegach.

Polowanie na wydry nigdy nie zaliczało się do szlachetnego rodzaju sportu, ponieważ ze względu na teren musiało się odbywać pieszo, a może być i dlatego, że wymagało ono środków pomocniczych, jak sieci, któremi zagradzano wydrze ucieczkę do miejsc nieprzystępnych i piki, na którą nadziewano osaczonego przez psy zwierza. To też po zupełnem wytępieniu bobrów i zmniejszeniu liczby wyder i polowanie na tego niszczyściela ryb zarzucono prawie zupełnie i w początku bieżącego stulecia psy wydrowe, zapewne już niezupełnie czystej krwi, przechowywały się u kłusowników i drobnych dzierżawców w Szkocyi, którzy polowali z niemi nie dla sportu, lecz dla zdobycia skór wydrowych.

Dopiero od połowy bieżącego stulecia ten rodzaj zabawy zaczął być modnym i to z bardzo praktycznym celem ochrony rybnych gospodarstw przed największym ich nieprzyjacielem. Poczęto więc odbudowywać dawną, wypróbowaną rasę otterhound'ów, ale że resztki jej były już nieliczne, musiano więc, dla uniknięcia połączeń w blizkiem pokrewieństwie, dodać nieco krwi innych gończych, a nawet, zdaje się, i bloodhound'ów. Hrabia Lécouteulx pisze, że w tymże samym celu Anglicy zakupili u niego po roku 1870 całą jego psiarnię niwerneńskich gryfonów i że najlepsze współczesne psy wydrowe pochodzą właśnie od krzyżowania z jego gryfonami. Z powodu tak niedawnej domieszki innej, choć pokrewnej krwi, obecna rasa psów wydrowych nie może być uważana ani za zupełnie czystą, ani za ustaloną. W każdym razie jednak angielscy hodowcy dobrze odtworzyli dawny typ, a co do myśliwskich przymiotów, teraźniejsze otterhound'y nietylko nie ustępują dawnym, ale może je przewyższają. Obecnie nie używa się już ani sieci, ani piki do nadziania zwierza; wyprowadza się tylko psy rano do obranej miejscowości; gdy te trafią na ślad zwierza, choćby zrobiony przed paroma godzinami, tropią po nim aż do nory lub szczeliny, w której się ukrywa, wypędzają go ztamtąd bez obcej pomocy i gonią następnie, czy to po lądzie, czy po moczarach i wodzie, dopóki nie schwytają i nie zaduszą. Ponieważ psy wydrowe gonią bardzo powolnie trzymając się ściśle krętych śladów, znaczonych przez wydrę, ludzie więc, towarzyszący polowaniu i dobrze z miejscowością obeznani, przebiegając na przełaj, mogą zdążyć na miejsce ostatecznej rozprawy.

Ten rodzaj polowania nie wymaga żadnych kosztów, utrzymanie kilku, albo kilkunastu otterhound'ów także nie pociąga wielkich wydatków, a usługi przy sztucznej hodowli ryb oddaje ogromne. Wydra jest zwierzęciem nadzwyczaj ostrożnem i mądrem; nawet swej obecności niczem nie zdradzi, chyba resztkami ryb spożytych; w sidła trudno ją złapać, bo głodną być nie potrzebuje; zabić ją z broni palnej udaje się tylko wybranym szczęśliwcom przy bardzo sprzyjających okolicznościach; jedynym pewnym sposobem tępienia tego drapieżnika jest polowanie z psami wydrowemi. Przytem otterhound'y, jako psy wielkie, silne i odważne, mogą bronić dobytku gospodarza i od dwunożnych rabusiów. Jako dowód użyteczności tej rasy psów przytoczyć mogę fakt, że złaja niejakiego Jeoffrey Hill'a, w 1881 roku, schwytała 62 wydry. Łatwo sobie wyobrazić, jakie szkody w rybołóstwie mogła wyrządzić taka ilość rabusiów wraz z ich potomstwem. To też zrozumiano już użyteczność psów wydrowych we Francyi, Niemczech, a szczególniej w Belgii i w ostatnich latach wywieziono do tych krajów kilka złai; w Anglii, a głównie w Szkocyi, istnieje ich obecnie przeszło dwadzieścia.

Otterhound'y, jak już wspomniałem, są to psy duże, silnej budowy i bardzo poważnego wyglądu; z wyjątkiem uwłosienia i koloru, bardzo przypominają dawną rasę południową, a po części i bloodhound'ów. Węch mają bardzo silny, a głosy nizkie i donośne. Od wczesnej młodości czują wrodzoną nienawiść do wydry. Cechy ich typowe są następujące:

Głowa: stanowi bardzo ważną cechę rasową; powinna być duża we wszystkich wymiarach; skóra na niej pomarszczona.

Czaszka: bardzo wypukła, z widocznym guzem na czubie; łuki nadbrwiowe mało rozwinięte.

Morda: długa; nos zawsze czarny; nozdrza szerokie; szczęki szerokie i długie z przodu, zapadnięte i suche przy policzkach, a szczególniej pod oczami.

Wargi: miękkie i bardzo obwisłe.

Uszy: bardzo długie i cienkie, osadzone nizko i spadające po za nos; silnie uwłosione i zawinięte w trąbkę przy policzkach.

Oczy: małe, orzechowo brunatne, zapadnięte głęboko; powieki dolne opuszczone.

Szyja: dość długa; obfitość włosów pozornie ją skraca; podgardle zwieszone.

Łopatki: skośne i bardzo muskularne.

Pierś: więcej szeroka, aniżeli głęboka.

Grzbiet: silny i szeroki.

Brzuch: obszerny, lecz trochę podciągnięty.

Żebra: lekko wypukłe, opuszczone nizko, szczególniej tylne.

Krzyż: nieco wypukły i bardzo silny.

Uda: wielkie muskularne i twarde.

Nogi: proste, o silnej kości i bardzo muskularne.

Łapy: wielkie, ściśnięte, z błoną i silnem uwłosieniem między palcami.

Ogon: mocno pokryty gęstym włosom, noszony w górę, lecz nie skręcony.

Szerść: ostra i długa ze spodnim puchem miękkim i wełnistym; na mordzie włos delikatniejszy tworzy wąsy i brodę.

Maść: siwa lub popielata, czasem buro-ceglasta; zdarza się i czarna podpalana.

Wysokość w łopatce: od 60 do 65 centymetrów.

Tablica dla oceny w przeciągu ostatnich lat czterdziestu ulegała trzykrotniej zmianie; ostatecznie przyjęto następującą:

Wygląd ogólny	10
Głowa i uszy	15
Szyja i piersi	10
Łopatki	5
Grzbiet i krzyż	10
Zad i ogon	10
Nogi i łapy	15
Szerść	15
Kolor	10
Razem	100

(D. n.)

August Sztolcman.

Listy z Taszkientu.

(Dalszy ciąg).

Krajowcy używają na tygrysa dość zabawnego sposobu. Jurta kirgizka (przenośna chałupa z klatek i żerdzi drewnianych, wojłokami pokrytych) ogołocona z wojłoków i bez żerdzi, dach formujących—zatem rodzaj koszyka, formę cylindra mającego—owiązuje się mocno sznurami z włosienia; nakrywa się to złożoną klatką, przesuwa się u spodu na krzyż dwa drągi, i z tego wszystkiego formuje się niby przewrócony dnem do góry mocny kosz, koło 3 łokci średnicy. Do tego kosza włazi 4—5 kirgizów, z których jedni niosą go za owe drągi, a drudzy w „multyki" uzbrojeni—artylerye owej fortecy stanowią. Twierdza ta posuwa się ku miejscu, gdzie upatrzony tygrys się znajduje. Panuje mniemanie że tygrys, ujrzawszy taką budę, nie rusza się z miejsca i ciekawie ją obserwuje. O 20—30 kroków buda się zatrzymuje i załoga daje ognia. Tygrys, najczęściej tylko ranny, rzuca się na budę, którą z całych sił od upadku starają się myśliwi, w niej siedzący, ochronić, dźgając przytem napastnika nożami przez dziury w klatce. Po kilku daremnych usiłowaniach, tygrys uchodzi; rannego myśliwi nie gonią zwykle zaraz, ale dochodzą go na drugi dzień, kiedy już od ran otrzymanych osłabnie. Niewiele owym sposobem zdobywa się skór tygrysich — ale się zdobywa. „Multyk" jest to długa rusznica małego kalibru o bardzo grubej, wielograniastej lufie, z osadą w kształcie krzywej, wązkiej deszczułki, systemu *lontowego*, w trzeciej części długości od wylotu ma przymocowane ruchome widełki, na których opierany bywa przy celowaniu. Ten niezgrabny statek, ciężki, ze szkaradną osadą—jest to typowa broń całej Azyi środkowej. Proch (najobrzydliwszy w świecie) krajowcy wyrabiają sami. Biją te „multyki" jednakże wcale nieźle i pomimo, że najczęściej mają tylko proste cugi, sięgają na 200 kroków. Myśliwi krajowcy, odznaczający się, jak w ogóle kirgizi, nadzwyczaj ostrym wzrokiem, strzelają przy pomocy widełek bardzo celnie, przytem siedzą lub klęczą. Żaden nigdy nie strzela z multyku, jak my, stojący, gdyż z tej broni jest to po prostu niemożliwem.

Gdym już zaczął o polowaniu krajowców, muszę i o nich samych nadmienić słów kilka. Ludność turkiestańska na dwie, wielce między sobą różniące się, grupy, jest podzieloną, a mianowicie na ludność osiadłą i koczowniczą.

Lud koczowniczy składają liczne rody i pokolenia szczepu „Uzbeków" (Tiurków), za czasów Czyngiza i późniejszych, z Azyi północno-wschodniej przybyłych. Większa ich część (z wyjątkiem pokoleń: Tiurk, Tiurkman, Kypczak, Karakalpak i Kyrgyz) samych siebie ogólnem imieniem „Kazak" nazywa, a Rosyanie, niewiadomo z jakich przyczyn, ochrzcili ich „kirgizami" i ta nazwa powszechnie się utarła. Lud osiadły, ogólne miano „sartów" noszący, składa się właściwie, co do pochodzenia, z „tiurków i tadżyków," których to ostatnich stosunkowo jest niewiele. Sartowie „tiurki" są potomkami koczowników tegoż imienia, z północo-wschodu przybyłych, którzy wśród tubylców „tadżyków" osiadłszy, islam od nich i tryb życia przejęli; przodkowie zaś tadżyków za dawnych czasów z Persyi tu przybyli.

Wszyscy w ogóle koczownicy, jako też i sartowie tiurskiego pochodzenia mówią po tiursku, (po kirgizku), który to język do tatarskiego bardzo jest zbliżony. Sartowie tadżyki mówią po tadżycku, t. j. właściwie perskim językiem, bardzo domieszką kirgizkiego popsutym.

Pomimo tak blizkiego pokrewieństwa co do pochodzenia, pomiędzy sartem a kirgizem ogromna zachodzi różnica, najbardziej z całkiem różnego trybu życia pochodząca. Sart trudni się rolnictwem, jest handlarzem lub rzemieślnikiem; kirgiz jest pasterzem i bydło hoduje, do roli się bierze bardzo niechętnie, z musu jedynie, najczęściej dopiero przyciśnięty przez biedę.

Sart jest powolny, poważny, tchórzliwy, trochę ślamazarny, wielki sknera i szachraj *), ma babski charakter, jest drobiazgowy i choć w gruncie nie fanatyk, ale świętoszek z niego wielki; sart jest bardzo ugrzeczniony, zwłaszcza z tymi, których potrzebuje; zawsze jest bardzo wymuszony, choć łatwo aroganckim się staje, a prawdę mówi tylko wtedy, kiedy koniecznie musi; jeżeli mu wszystko jedno — łże z zasady. W ogóle bardzo żyda przypomina; równie chciwy grosza i nieprzebierający w środkach zysku. O tyle jednakże lepszy od żyda, iż koło roli z zamiłowaniem pracuje i pracę szanować umie, jak swoją, tak również i cudzą. Kirgiz jest uparty i gburowaty, ma jednak więcej poczucia ambicyi i dążenia do samobytu. W ogóle kirgiz jest mniej dobrze wychowanem, ale też i mniej zepsutem dzieckiem natury od sarta. Dla tych przyczyn kirgiz jest lepszym materyałem na myśliwego, mając przytem, jako koczownik, więcej czasu od rolnika, rzemieślnika lub handlarza sarta. Rzeczywiście, śród kirgizów myśliwych („mergeni") jest znacznie więcej, aniżeli pomiędzy sartami.

Sart jednakże ma trochę żyłki sportsmana, odziedziczonej po przodkach koczowniczych. Islam wszakże i temu rysowi nadał charakter semicki. Sart myśliwy będzie przedewszystkiem się starał, aby go polowanie jak najmniej kosztowało, a jak najwięcej zysku przynosiło. Psów nie karmi, proch kupuje miejscowy, byle taniej, zamiast śrótu będzie sypał do lufy kawałki żelaza i drobne kamyki. Nad wszystkie sposoby przekłada polowanie z jastrzębiem (bo najtańsze) i zastawianie sideł. W zimie, po ponowie lub odwilży, gdy kuropatwom czerwonym i bażantom zmokną lub zmarzną skrzydła, wszystko siada na koń i plądruje w gąszczach trzcinowych i w górach ze zgrają psów. Wystraszone wrzaskiem i przez psy bażanty i kuropatwy, po paru przelotach nie mogą się więcej podrywać, i padają masami pod kijami jeźdźców, doskonale tym orężem władających. Najwięcej tym sposobem ginie bażantów w dolinie Czyrczyku, które, jako ptaki duże, daleko latać nie mogą, zwłaszcza, że o tej porze są zwykle dość otłuszczone.

Sart ma pasyę do przepiórek, które rad żywe nosi przy sobie i bawi się, urządzając walki tych ptasząt pomiędzy sobą, przyczem spektatarowie zakładają się między sobą, niekiedy o dość znaczne sumy. Przepiórki łowią w sidła, polują na nie z legawcem (kradnąc do tego Rosyanom masę psów myśliwskich) i z siatką, którą zowią „matarap". Instrument ten jest podobny do siatki na motyle, tylko znacznie większy i worek ma nie z muślinu, lecz z sieci zrobiony. Sart trąca wyżła i w chwili, gdy się przepiórka zrywa, nadzwyczaj zręcznie chwyta ją w siatkę. Polują także na nie z kobuzem, (*Falco subbuteo*) konno lub pieszo. Polowanie z psami myśliwskiemi jest w ogóle bardzo rozpowszechnionem na Wschodzie. I w tem pomiędzy sartem a kirgizem wielka zachodzi różnica: gdy kirgiz olbrzymie berkuty unosi i z nimi na wilki, lisy, suhaki (*Colus tartaricus*) i dżejrany (*Antilope subgutturosa*) poluje—sart na jastrzębiu i kobuzie poprzestaje i niemi przepiórki, bażanty i kaczki dzikie chwyta. Wszystkie jednak tutejsze ptaki myśliwskie są „bas vol" i rzadko kiedy dobrze unoszone; nawet Emir Buchary, wielki amator tego rodzaju łowów prawdziwych „haute volé" sokołów nie posiada.

(D. c. n.).

Kap. Kwaskowski.

*) Renan miał racyę, mówiąc, że islam wszystkich, co go wyznają, na semitów przerabia. (*Przyp. autora*)

Korespondencye „Łowca Polskiego."

Petersburg, *w styczniu.*

W korespondencyi, zamieszczonej w Nr. 1 „Łowca Polskiego", p. Rumulus Szyszkowski powątpiewa o możliwości dobrowolnego łączenia się wilków, żyjących na swobodzie, z psami domowemi, a jako uzasadnienie swej wątpliwości przytacza fakt, że w guberniach litewskich i wielkoruskich, pomimo obfitości wilków, nikt nigdy nie słyszał o podobnym wypadku. Ponieważ w artykule „O pochodzeniu psa" podałem kilka przykładów łączenia się wilczyc z psami, w obronie przeto własnej winien jestem wyjaśnić bliżej, tak p. Szyszkowskiemu, jak i innym czytelnikom „Łowca Polskiego" te fakty nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Suka domowa może się łączyć tylko w wilkiem chowanym, do którego przyzwyczaiła się od młodości i z którym izolowano ją na czas trwania popędów płciowych; wilka dzikiego nie potrzebuje szukać i przezwyciężać wrodzonego wstrętu, gdyż ma zawsze dość psów około siebie. Toż samo w okolicy, gdzie jest dużo wilków, wilczyca znajdzie sobie zawsze przeznaczonych jej przez przyrodę kawalerów, nie potrzebuje szukać ich między psami domowemi. Ale tam, gdzie jest mało wilków i gdzie z całego gniazda zostanie jedna wilczyca, która w całej okolicy nie może znaleźć sobie samca, zbliża się ona do siedzib ludzkich, pobudzona nieprzepartym popędem i tam znaczy ślady swego przejścia. Jeżeli na trop podobny wpadnie wiejski kundys, również spragniony miłości i dostatecznie odważny, przezwycięża on strach i wstręt do wilczego rodu, i następuje spotkanie i połączenie.

Przytoczony przeze mnie fakt z guberni siedleckiej jest najzupełniej autentyczny; szczeniak był wzięty z gniazda, położonego wśród trudnych do przebycia moczarów; zabita jego matka okazała się najprawdziwszą wilczycą, a jednak był on niewątpliwym mieszańcem z psem domowym. Dwa czarne niby-wilki, których skóry wypchane znajdą się, jedna w muzeum we Frascati, a druga w lokalu Towarzystwa racyonalnego polowania, były także mieszańcami po psach, choć zabite były na swobodzie między innemi wilkami; opinię taką potwierdził swą powagą ś. p. Taczanowski. Gdyby tych trzech faktów było zamało dla przekonania wątpiących, potwierdzić je mogę innemi, wziętemi z literatury przyrodniczej francuzkiej. Najpierw Buffon cytuje podobny wypadek, który miał miejsce w Szampanii w r. 1776; następnie Cuvier stwierdza, że wzięte z gniazda w Pyrenejach dwa wilczaki i dostawione do paryzkiego ogrodu zoologicznego, okazały się mieszańcami po psie; nakoniec Mauduit w pracy swej „O wilku i jego odmianach" (1851 r.) przytacza fakt łączenia się dobrowolnego dzikiej wilczycy z kundlem wiejskim w lasach Basoche. Dwa mieszano szczeniaki były wzięte z gniazda, a trzeci wraz z matką zabity w pół roku poźniej.

Podobne krzyżowania trafiają się nietylko między psem a wilkiem; znane są mieszańce głuszycy i cietrzewia, białej pardwy i cietrzewia i t. p. W ogóle jednak podobne wypadki zdarzają się tylko w miejscowościach, w których człowiek przez swą interwencyę naruszy przyrodzoną równowagę, wytępiając jaki gatunek.

Stanowcze twierdzenie p. Szyszkowskiego, że pies opisany w korespondencyi do „Łowca Polskiego" w Nr. 11 z roku zeszłego, nie mógł być mieszańcem po wilku, lecz był niewątpliwie prawdziwym psem, także nie wytrzymuje bliższego rozbioru. Pies ten mógł być maści żółtej z białem i mieć włos krótki, a jednak pochodzić w trzeciem lub czwartem pokoleniu od wilka. Fakt, że i między psami trafiają się takie, które duszą barany, niczego nie dowodzi; zbałamucone charty i gończe rzucają się wprawdzie na owce lub świnie, ale robią to w polu lub w ogóle na swobodzie, lecz nie podkopują się do owczarni i właśnie to podkopanie dowodzi, że sprawca śmierci 60 baranów miał w żyłach trochę krwi wilczej.

Po tych wyjaśnieniach, ośmielam się zwrócić do p. Szyszkowskiego z prośbą. Powiada on, że mieszańce po psach i wilkach, w pierwszem pokoleniu są zawsze pół-dzikie, w następnych pokoleniach, rozumie się, krzyżowane z psami, zatracają stopniowo tę dzikość, a w *siódmem* lub *ósmem* pokoleniu stają się zupełnie podobne do naszych psów. Ponieważ, podług znanych dotąd obserwacyj, płodność mieszańców, czy to krzyżowanych między sobą, czy z innemi psami, ustaje w trzeciem, a najwyżej w czwartem pokoleniu, — możeby więc p. Szyszkowski zechciał zakomunikować za pośrednictwem „Łowca Polskiego" znane sobie autentyczne wypadki, w których płodność mieszańców trwała dłużej, jak przez cztery pokolenia. Fakta podobne, dostatecznie stwierdzone, mogłyby zmienić zupełnie dotychczasowe poglądy na możność utrwalania ras psów, powstałych z krzyżowania z wilkami. Nadmienić jednak muszę, że genealogia mieszańców może być uważaną za pewną tylko po linii suk, gdyż stwierdzenie ojcostwa przez kilka pokoleń, tylko przy zachowaniu wielu ostrożności może być pewnem.

August Sztolcman.

W sprawie bociana.

Od jednego z naszych prenumeratorów otrzymaliśmy list następujący:

Do poruszanej wielokrotnie kwestyi szkodliwości bociana, pozwalam sobie i ja nadesłać słów kilka pod adresem Warszawskiego Towarzystwa Prawidłowego Myśliwstwa.

Bez zaprzeczenia chyba każdy z panów myśliwych zgodzi się na to, iż tradycyjny bocian jest szkodnikiem nieposlednlej miary. Dlaczego więc mamy oszczędzać go? Sądzę iż tradycyją ludową, w wypadku, gdzie chodzi nam o racyonalne rozmnażanie i hodowlę zwierzyny, powodować się nie można. Wielokrotnie śledziłem u siebie, w majątku Piekary (gub. piotrkowska), całodzienny tryb życia bociana. Otóż, zauważyłem go kilka razy, jak upolowawszy młodego zajączka, niósł do gniazda; innym razem widziałem bociana, gdy napotkawszy kuropatwie gniazdo, spędził siedzącą na niem kurę i zaczął tłuc jaja, czemu naturalnie natychmiast zapobiegłem, lecz kura na gniazdo nie powróciła. Jeszcze innym razem spotkałem go, gdy pożerał z gniazda młode pisklęta przepiórki. Jednem słowem, bocian stoi narówni z najgorszymi szkodnikami i tępicielami naszej zwierzyny. Teraz stawiam pytanie: co by mogło radykalnie zapobiedz tolerowaniu tego tak wielkiego szkodnika?

Przypuszczam, że tylko zakaz ze strony Rządu. Tradycya w takim razie musiałaby upaść, ku wielkiej uciesze naszej zwierzyny. Nie mówię, aby bocianom jakąś szczególną wypowiadać wojnę, lecz nie powinniśmy sami ułatwiać im rozmnażania się przez zakładanie gniazd w postaci bron, kół i t. p., gdyż to jest formalną hodowlą bocianów, co na nasze zwierzostany, które w lisach, jastrzębiach, psach, kotach, i t. p. mają i tak wielkich tępicieli, wcale dodatnio nie wpływa.

Sądzę, że Towarzystwo Prawidłowego Myśliwstwa, starające się o racyonalne rozmnażanie i hodowlę zwierzyny, rozpatrzywszy tę niecierpiącą zwłoki kwestyję, w imię dobra ogólnego, postara się o uzyskanie nakazu ze strony Władzy, aby tradycyjnego bociana- szkodnika stanowczo usunąć z pod szczególnej opieki, jaką go otaczają nasi wieśniacy.

Stefan Ostrowski.

O szkodliwości bociana rozpisują się ciągle myśliwi w pismach zagranicznych. I tak donosi pewien myśliwy, że stary „Woś", niosący pożywienie młodym, zawadził o rynnę dachu i spadł ze złamanem skrzydłem na dziedziniec. Przekonano się wówczas, że zamierzał on zastawić przed dziatwą swoją śniadanie, składające się z młodego zajączka, dwóch raków, dwóch żab i 20 małych rybek. A ileż to dopiero spotrzebuje „rodzina bociania" na obiad!?

Inny myśliwy z nad Noteci donosi, że ubił mnóstwo bocianów, leżąc wieczorem na stanowisku na rogacze; w maju roku ubiegłego widział razem w lesie miejskim pod Piłą (w. ks. Poznańskie) 20—30 bocianów, które urządzają wśród gniazd kuropatw i bażantów ogromne spustoszenia, jakkolwiek na rozległych łąkach nadnoteckich mają żab podostatkiem. Kośnicy opowiadali, że bociany zbliżają się do nich bardzo śmiało, gdy podczas kośby spłoszą kuropatwy; laskonodzy rabusie urządzali wtedy pościg za kurami! Dlaczego rzucają się czajki na bociany? Tylko dla tego, że w „Wosiu" widzą nieprzyjaciela, czyhającego na ich jaja i młode. Ów myśliwy radzi wypowiedzieć bezwzględną wojnę, zwłaszcza „dzikim bocianom," gnieżdżącym się po lasach. Z „Wosiem" oswojonym, wysiadującym po podwórzach, trzeba zawrzeć od biedy jakiś układ, bo to... faworyt pań!...

W „Wild u. Hund" p. Weis pisze. Jadąc rano do kościoła, dostrzegłem na polu dwa bociany; dziobały one coś zaciekle, podczas gdy stary zając krążył w około. Zbliżywszy się, znalazłem młodego zajączka, strasznie podziobanego. Niestety nie miałem w ręku strzelby, inaczej laskonodzy rabusie zapłaciliby mi krwawo!

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 14 marca. P. Stanisław Wojczyński wniósł podanie o założenie miejsca ochronnego na przestrzeni 15 włók w Starej Łomży. Postanowiono podanie uwzględnić i mianować stróża.

Administracya dóbr Jabłoń zawiadamia Oddział, że niektórzy okoliczni włościanie, nie mający prawa polowania, urządzali sobie w sezonie formalne naganki i polowali na swoim i cudzym gruncie. Rada postanowiła zwrócić się do właściwego naczelnika powiatu z prośbą o ukrócenia tego rodzaju nadużyć.

Naczelnik powiatu opoczyńskiego przedstawił wykaz broni odebranej kłusownikom przez 3 strażników. Wykaz ten obejmuje 100 sztuk broni myśliwskiej. Równocześnie z tegoż powiatu nadesłał list członek Oddziału, p. Kobierzycki, który również konstatuje energiczne prześladowanie kłusownictwa w pow. opoczyńskim. Wobec tego Rada, pomimo że nagrody na gub. radomską już zostały wysłano na ręce p. Gubernatora, postanowiła dodatkowo wysłać po 5 rubli dla dwóch młodszych i 15 rub. dla starszego strażnika.

Również wysłano 10 rub. dla strażnika starszego i po 5 rub. dla dwóch młodszych, w pow. będzinskim jako nagrodę za gorliwość w sprawach z kłusownikami na przedstawienie jednego z naszych członków z Niegowonic, jakkolwiek na gub. piotrkowską nagrody za rok zeszły już są wysłane. Nadto postanowiono mieć na uwadze starszego strażnika, przy wyznaczaniu nagród w zegarkach.

Stróż przy miejscu ochronnem w Smardzewie otrzymał bezpłatny bilet na prawo utrzymywania broni myśliwskiej.

Kaliski gubernator nadesłał wykaz odebranej kłusownikom broni w 1899 r. Wykaz ten obejmuje 412 sztuk broni. Postanowiono wysłać na ręce p. gubernatora 147 rub. na nagrody dla straży, z wyjątkiem tych powiatów, na które wysłano już 65 rub. na ręce p. naczelników powiatu.

Posiedzenie Rady, d. 21 marca. Na skutek odezwy Tomasza hr. Zamoyskiego z Jabłonia pod Parczewiem Rada Towarzystwa odniosła się do naczelnika powiatu włodawskiego, który rozkazał poszukiwanie broni, nieprawnie utrzymywanej. Strażnicy Anisimow i Szyszka dokonali rewizyi w 8 wsiach i znaleźli 7 sztuk broni u osób, nie posiadających biletów.

P. gubernator kaliski zawiadamia, że wydał bezpłatny bilet na broń stróżowi Ochwiarze w majątku Galewice.

Pewien myśliwy, polując na swoich terenach, przeszedł przez nieuwagę granicę sąsiedniego majątku, gdzie stróż miejscowy odebrał mu broń i przesłał takową do kancelaryi Towarzystwa. Na zapytanie myśliwego, co się dzieje z jego bronią, Rada poleciła zawiadomić go, że broń przesłaną została naczelnikowi powiatu.

Naczelnik powiatu łęczyckiego zawiadamia, że na skutek odezwy Towarzystwa polecił zrobić rewizyę u kolonisty Szypkowskiego w kolonii Sławoszew, lecz że broni nie znaleziono.

Następnie zastanawiano się nad sprawą atrybucyi członków wydziału gospodarczego. Postanowiono zaprosić na przyszłe posiedzenie Rady cały wydział gospodarczy, aby wspólnie omówić tę sprawę i wygotować instrukcyę dla wydziału. Asygnowano dla warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności 50 rubli.

Na posiedzeniu obecnym był w charakterze zaproszonego gościa generał-major Iwanow, zarządzający Księstwem Łowickiem.

Posiedzenie Rady, 28 marca. Na posiedzeniu tem Rada omawiała wspólnie z Wydziałem gospodarczym sprawy gospodarcze Oddziału.

Następnie zamianowano dwóch stróżów przy nowych miejscach ochronnych. Wreszcie przyjęto do wiadomości zawiadomienie p. gubernatora piotrkowskiego o wydaniu pozwolenia na prawo utrzymywania broni myśliwskiej członkowi Oddziału p. Janowi Filipczakowi.

We środę, dnia 4 kwietnia, odbędzie się Ogólne Zebranie Członków naszego Oddziału, na którem dokonany zostanie wybór Prezesa Oddziału. Dotychczasowy Prezes, generał-lejtenant Sidorow, opuściwszy służbę czynną, przenosi się na stały pobyt do Cesarstwa, przeto nadal obowiązków Prezesa Oddziału sprawować nie może. Pożądany byłby jaknajliczniejszy udział Członków w tem Zebraniu, zarówno aby podziękować dotychczasowemu Prezesowi za jego 10-letnią pracę dla Towarzystwa, jak również dla jednomyślnego wyboru jego następcy.

Drobiazgi Myśliwskie.

Ciąg słonek sygnalizują z nad Adryatyku. Profesor Marek z Zengu, w Chorwacyi, pisze do pism niemieckich pod dniem 21 lutego: „Wczoraj mieliśmy dobrą dla ciągu pogodę: gwałtowny sirocco z ulewnym deszczem i grzmotem w południe, w nocy przy zachmurzonem niebie dął lekki sirocco. Dziś rano znalazłem i ubiłem pierwszą słonkę, była jeszcze bardzo osłabioną. W nocy musiało zapaść więcej słonek, bo pies mój markował w kilku miejscach, węszył, ale nic nie znalazł prócz tej jednej. Słonki niewątpliwie nadciągnęły tu dopiero wczoraj wieczorem i dziś rano udały się w dalszą wędrówkę w góry."

Zmarznięte czajki. W Kocku (gub. siedlecka), u hr. Żółtowskiego, znaleziono trzy zmarznięte czajki.

Kwestyą szkodliwości wron zajmują się w Niemczech żywo, jak świadczy poniższa, charakterystyczna odezwa radcy regencyjnego D-ra Roriga z Berlina (Klopstockstr. $^{19}/_{20}$): „Skoro oddział biologiczny dla rolnictwa i leśnictwa przy cesarskim urzędzie hygienicznym ukończył już obecnie badania zawartości żołądka wron, przystępuję do opracowania bogatego materyału (zbadano 5,104 żołądków wron). Przy tej sposobności mam zamiar dać możliwie dokładny, wyczerpujący obraz zachowania się tych ptaków i zwracam się do moich współzawodowców z prośbą, ażeby zakomunikowali mi faktyczne spostrzeżenia, odnoszące się do szkodliwości lub użyteczności wrony, o ile dotychczas nigdzie nie zostały ogłoszone. Kładę atoli nacisk na to, że nie zależy mi na ogólnikowych opiniach, lecz proszę o podanie faktów pozytywnych, dziękując wszystkim naprzód za przysługę."

O zrzucaniu parostków przez rannego sarnika. W kołach myśliwskich przeważa zapatrywanie, że ciężko ranione sarniki nie zrzucają parostków. Tymczasem ubiegłej zimy zdarzył się wypadek, ilustrujący kwestyą powyższą. Pewien leśniczy miał nieszczęście postrzelić podczas najlepszej rui, na początku sierpnia, dużego, około 30 funtów ważącego kozła, z silnemi rogami, w tylny skok oraz w uda. Tropienie pozostało bez skutku. Dopiero po trzech mniej więcej miesiącach, w połowie października, dostrzeżono owego rogacza, pędzącego na trzech skokach i już mocno wychudłego. Myśliwy puścił się za nim w pościg i wkrótce dostrzegł go w lesie; kozioł pomknął w odległości około 25 kroków, jednakże z powodu gęstwiny nie można było przyjść do strzału. Po godzinnem tropieniu myśliwy wrócił znowu na miejsce, gdzie dostrzegł sarnika; tam nareszcie z odległości 50 kroków udało się wpakować kulę tropionemu rogaczowi, który jednak w ciągu owej godziny zdołał zrzucić rogi. Z osad sączyła się świeża farba, ale parostków ani śladu. Sarnik wychudł jak szkielet, postrzelona noga była potwornie zrośnięta, pogruchotane kości zsunęły się jedna na drugą i w jednem miejscu utworzyła się narośl. Pędzel był zupełnie skarłowaciały. Jakżeż wobec tego wierzyć, że postrzelone rogacze nie zrzucają rogów?

Suka i sarniątko. Czytamy w „Zwinger und Feld:" Właściciel dóbr Br. w S. znalazł na swem polu młode sarniątko, które zawzięcie dziobały wrony. Jeszcze żywe przysadził do suki, której tego samego dnia utopio

no szczenięta. Po kilku dniach wyniósł p. Br. zdrowe już i żwawe koźlę do poblizkiego lasu, aby odnalazła je matka i odżywiła, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy suka nagle zginęła, a po dwóch dniach wróciła z koźlątkiem do domu. Koziołek wyrósł i wraz z matką przybraną towarzyszy p. Br. w wycieczkach w pole i do lasu.

Czapla jako drapieżnik. Wszyscy doskonale wiedzą, jak wielkie szkody w rybołóstwach wyrządza czapla, o czem i myśmy już pisali. Mało jednak komu wiadomem jest, że ptak ten porywa nieraz szczury wodne, a nawet i ptactwo. Ornitolog angielski Selby*) widział czaplę, podpływającą do gniazda kurki wodnej w celu porwania piskląt, a świeżo jakiś Anglik opowiada w „Fieldzie," jak w jego oczach czapla porwała i uniosła kurkę wodną, trzymając ją dziobem za głowę, czy za szyję. W ten sam sposób tępić musi młode kaczęta i inne ptactwo łowne.

Zakładanie lizawek. Najodpowiedniejszą porą do zakładania w rewirach lizawek jest marzec i kwiecień, bo w tym czasie najłatwiej przywiązać do miejsca zwierzynę, ulegającą niekiedy niepojętym chętkom wędrówek. Dobrze założone lizawki posiadają też wielką wartość, gdy chodzi o utrzymanie sarn w dobrym stanie. Podawaliśmy już parę sposobów urządzania lizawek, obecnie przytaczamy jeszcze jeden mniej znany, jakkolwiek przez Niemców bardzo chwalony. W kotle do prania doprowadza się wodę do stanu wrzącego i podczas gotowania dorzuca się najlepszą sól i miesza dopóty, dopóki się już nie rozpuści. Mieszając bezustannie ten roztwór soli, przesiewa się w niego przez sito najlepszą sproszkowaną glinę dotąd, aż się wytworzy gęsta sztywna masa. Tę przesoloną glinianą bryndzę umieszcza się w półbeczce lub w skrzyni z silnych desek i jeszcze w razie potrzeby dosiewa się gliny póki całość nie stwardnieje. Półbeczkę lub skrzynię wraz z zawartością zakopuje się w dole, położonym w rewirze. Najdrobniejsze cząstki gliny przesycone są solą, której i ulewny deszcz nie wymyje. Lizawek tych nie potrzeba też tak często odnawiać, słowem są one pod każdym względem bez zarzutu i szczególnie ponętne dla sarn, jak próba przekona. Chcąc zużytkować lizawki jako przynętę dla gołębi zaleca się dodać pewną ilość ziarn anyżowych, nie szkodziłby także dodatek kilku konwi odlewu ze śledzi. Trzeba jednak takich lizawek strzedz od kłusowników, którzy lubią przy nich zasiadać. Dobrze jest dosypywać do lizawek wapno obfitujące w fosfor, bo wpływa to korzystnie na tworzenie się i rozrost rogów.

Lekarstwo na parchy, tak powszechne w tej porze roku, zaleca się następujące: 1 kwarta kreoliny (dla dużych i silnych psów, dla młodych i słabszych tylko $^1/_4$ do $^1/_2$ kwarty), 1 kwartę okowity i funt szarego mydła gotuje się razem i cieczą tą naciera się pacyenta przez trzy dni. Czwartego dnia bierze chory pies kąpiel w letniej wodzie, co wyleczać powinno.

Wiatr psów myśliwskich. Nie chciałbym być sędzią konkursowym, mającym decydować o sile wiatru psa na próbach polowych (*field trial*), tak łatwą jest w tym względzie pomyłka i mimowolne niesprawiedliwe osądzenie. Ileż razy widziałem wyżły, przeskakujące przez leżącą, ubitą zwierzynę, nie domyślające się nawet jej tam obecności, a wiedziałem dokładnie, że pies ma z natury wiatr dobry. Pismo „Zwinger und Field" ciekawy w tym względzie opowiada wypadek.

Na nagance postrzelony zając w pełnym pędzie puścił się z góry, przeszedł w poprzek zagaj, sto kroków szeroki, udał się na górę przeciwległą, na grzbiecie której leżały dwa rzędy ubitych zajęcy, przeskoczył je i znikł w poblizkim zagaju. W jakiś czas potem nadszedł leśniczy ze starą suką. Puszczono ją na trop już niezbyt świeży, pobiegła pędem w pogoń, pod górę zwolniła kroku, przeszła spokojnie przez dwa rzędy na rozkładzie leżących zajęcy, nie straciła tropu, odszukała w zagaju ranionego kota, którego wzięła i do swego pana przyniosła. Że ta suka miała wiatr dobry, trudno zaprzeczyć, skoro całe rzędy świeżo ubitych kotów zmylić jej tropu nie mogły, a jednakże ileż razy się zdarzyło, że kilkakrotnie przebiegła pędem około ubitego kota i do tego pod wiatr, a więc w korzystnych warunkach, a nie nie poczuła. Wszystko zależy od usposobienia w danej chwili i różnych okoliczności towarzyszących.

O układaniu tropowców pisze specyalny organ niemiecki „Zwinger u. Feld" co następuje. Pies pracujący na tropie musi iść na smyczy. Prowadzenie na smyczy jest podstawą dobrej tresury tropowca, bo tylko wtedy można psa kontrolować, pomagać mu i karcić. Pies raz puszczony swobodnie na trop, nie zechce już potem pracowicie krok za krokiem tropić zwierzyny na smyczy, lecz będzie się niecierpliwie rwać naprzód. Niecierpliwie pracujący a puszczany wolno pies, łatwo zbacza na trop świeży i goni zdrową zwierzynę, zamiast ścigać ranną, albo gubi trop i nie umie go odszukać bez pomocy myśliwego. Myśliwy musi potem rezygnować z dostania postrzelonej zwierzyny. Zdarza się też bardzo często w praktyce, że pies wygoni zwierzynę po za miedzę graniczną, po za którą ścigać jej nie można; im częściej się to zdarza, tembardziej pies się psuje; dopóki więc pies nie nauczy się na smyczy tropić po zimnych śladach rannej sztuki i odróżnić jej od zdrowych, świeżo znaczonych śladów, dopóty nie należy puszczać go wolno. Psa wyuczonego tropić na smyczy, nigdy świeży zdrowy trop nie zmyli i nie sprowadzi z właściwego tropu postrzelonej sztuki; pies, puszczony odrazu ze smyczy, rzadko odkryje zwierzynę, gdy padnie ona w odległości kilku wiorst od miejsca postrzału; wtedy dopiero rozpoczyna się prawdziwa robota psa tresowanego do tropienia na smyczy. Psy, których tresura nie jest jeszcze ukończoną zupełnie, którym myśliwy nie może jeszcze ufać bezwzględnie, nie powinny nigdy być spuszczane ze smyczy.

Pies kłusownika. Redaktor angielskiego pisma myśliwskiego *Shooting Times* opowiada, że będąc jeszcze młodym, znał pewnego kłusownika, który posiadał psa niezwykle pięknego i mądrego. Schwytany na gorącym uczynku, kłusownik został skazany na więzienie, a jego pies—na śmierć. Lecz jeden z sędziów, zachwycony pięknością psa, wyprosił mu ułaskawienie, z warunkiem jednak, że nadal nie będzie używany do polowania, a tylko do strzeżenia baranów, w czem jakoby celował. Po pewnym jednak czasie zaczęły krążyć wieści, że pies nadal poluje na zające. Polowy ze Stretton Hall widział niejednokrotnie o świcie zupełnie podobnego psa, jak, niosąc zająca, kierował się ku siedzibie swego dawnego pana. Tymczasem nowy jego właściciel utrzymywał, że pies zawsze rano znajdował się na swem stanowisku i pilnie strzegł baranów. Wspomniany polowy zapowiedział wtedy, że zabije psa, skoro go raz jeszcze z zającem zobaczy. Jakoż wkrótce potem biedne psisko przypłaciło życiem swój zapał myśliwski i okazało się wtedy, że znosił on zające do pewnego miejsca, o którem wiedział tylko jego dawny właściciel, ciągnący korzyści z tych nocnych wycieczek swego dawnego towarzysza i sługi.

Emancypacya z pod wpływów angielskich w dziedzinie sportu przybiera rozmiary coraz szersze. Obecnie irytują się pisma sportowe angielskie, że na tegoroczną wystawę w Amsterdamie nie zaproszono wbrew dotychczasowemu zwyczajowi ani jednego Anglika do grona sędziów. W tem pominięciu wietrzą Anglicy skutki toczącej się wojny w Transwaalu. Nie ulega wątpliwości, że zwłaszcza z Holandyi, której pobratymcy walczą tak zaciekle z imperyum Wielkobrytańskiem, dumny Albion nie cieszy się sympatyą. Głównego powodu, że Holandya w roku bieżącym, jak Belgia już dawniej, mianuje „jury," złożone prawie wyłącznie z krajowców,

*) *Jarrel's Birds*, vol. IV, p. 169.

szukać jednakże trzeba w tem, iż kraje te usiłują wyemancypować się z pod wpływu zagranicy. Niemcy uczyniły to już dawno.

Elektryczność w zastosowaniu do myślistwa. Sportsmani angielscy zastosowali lampki elektryczne przy polowaniu na tygrysy. Myśliwy, zasiadający na tygrysa, zawiesza w bliskości na gałęzi lampkę elektryczną, zasilaną przez baterye o sześciu elementach. Drut od lampki przeprowadzony jest do osady broni, tak, że za pociśnięciem małego guzika można połączyć oba bieguny. Skoro tygrys ukaże się w bliskości, myśliwy naciska guzik, wydobywając silne światło. Zwierz w pierwszej chwili tak jest oślepiony i zdziwiony tą nagłą jasnością, że pozostaje chwilę nieruchomy. Z tego właśnie momentu korzysta myśliwy, aby zgładzić strasznego przeciwnika.

Pożywienie szpaka. Pan I. E. H. Kelso z Elm-grove (Hants) mówi w „Fieldzie," że od wielu lat śledził za tem, czem się żywią szpaki i znajdował w żołądkach ich małe gatunki ślimaków (*Helix cochlicopa*), pająki, robaki, małe owoce i włókna roślinne; zdziwiony też został niepomału, gdy jeden z jego farmerów doniósł mu 20 grudnia 1898 r., że szpaki zjadają mu świeżo zasianą pszenicę. P. Kelso zabił kilka szpaków i rzeczywiście, w żołądkach ich znalazł ziarna pszenicy. Innym znów razem, 10 grudnia 1899 r., zabił szpaka, żerującego na obsianem pszenicą polu i znów znalazł w żołądku jego liczne ziarna pszeniczne. Obserwacye te wskazują na zmieniające się powoli obyczaje szpaka, który dotychczas uważany był za jednego z najużyteczniejszych ptaków. Wartoby, aby i nasi rolnicy zwrócili uwagę na tę interesującą sprawę.

Z polowań dworskich. Na polowaniu dworskiem w Goeding, pod Wiedniem, ubito w czasie od 28 listopada do 9 grudnia: 3 sarny, 2,665 zajęcy, 1,363 bażanty, 431 kuropatw, 1,032 króliki, lisa i 4 sztuki innej zwierzyny, razem 5,949 sztuk.

Podczas ostatniego pobytu cesarza niemieckiego w Anglii odbyły się dwa polowania w parku windsorskim. Wilhelm II ubił 247 bażantów, 618 królików i jedną kuropatwę. Inni uczestnicy polowania: książęta Walii, Connaught, York, Krystyan Szlezwicko-Holsztyński, Aribert anhaltski i wielki marszałek dworu hr. Eulenburg ubili 447 bażantów i 882 króliki.

Następnie polowano z naganką w rewirze, okalającym pyszny pałac myśliwski Sandringham, należący do księcia Walii. W polowaniu brali udział Wilhelm II, wyżej wymienieni książęta i generał v. Plessen. Ubito ogółem 1,607 bażantów, 123 zajęce, 88 królików, 51 kuropatw i 12 słonek; z tego przypadło na cesarza niemieckiego 438 bażantów, 18 zajęcy, 16 królików, 8 kuropatw i 1 słonka. Piękna pogoda sprzyjała polowaniu, termometr wskazywał stale 7 stopni ciepła. Cesarz niemiecki strzelał z lankastrówki 20 kalibru. Naganiacze mieli do pomocy trzy sfory tropowców Clumber Spanieles i trzy sfory aportujących wyżłów, retrieverów. Park windsorski ciągnie się milami, wszędzie gładka płaszczyzna, jakby zapraszająca do naganki i polowania *par force*, tu i owdzie stoją jeszcze odwieczne buki i dęby; jelenie i daniele są tam zupełnie oswojone; króliki kryją się w bujnem zielsku i pod krzewami rododendronu. Krzewy te przetrząsali naganiacze gruntownie i wtedy małe zwierzątka pomykały przed strzelcem z błyskawiczną szybkością. Oczywiście, wobec znanej taktyki królików rzucania się plazem na ziemię, nie brakło pudeł i dopiero szybki, drugi strzał w okolicę, gdzie poruszało się zielsko, bywał skuteczny; polowanie na króliki kosztuje dużo prochu! Mimo naganiaczy i psów, mnóstwo królików przedzierało się przez linię i cofnęło się w głąb parku. *Keeperzy* (leśnicy), którymi dowodził nadleśniczy, ubrani byli w zielone surduty aksamitne z złotemi sznurami, w szare menchesterskie szarawary, kamasze skórzane i sznurowane buty; twardy zielony kapelusz z złotym sznurem i pomponem zdobił głowę. Ubiór innych naganiaczy składał się z kamaszów skórzanych, naciągniętych wysoko na pantalony, zabezpieczających przed wilgocią i cierniem. Bażanty płoszono za pomocą czerwonych chorągwi, umieszczonych na długich drzewcach.

Wypadki na polowaniu. W Sztutgardzie wychodzące pismo „Zwinger und Feld" donosi, że w czasie od 20 sierpnia do 10 grudnia 1899 r., pięciu ludzi z własnej winy straciło życie, a sześciu odniosło ciężkie rany, w Niemczech zaś na polowaniu, z cudzej ręki poległo 8, a ciężko okaleczonych zostało 9 osób. Zaprawdę, w tak krótkim przeciągu czasu niemały to kontyngens ofiar własnej lub cudzej nieostrożności. Wspomniane zostały tylko ciężkie wypadki, lekkie zaś poranienia i draśnięcia zazwyczaj przemilczane bywają i nie dochodzą do wiadomości publicznej. Zdawałoby się, że na polskiej ziemi o tak licznych wypadkach nie słychać, i że pod tym względem jesteśmy ostrożniejsi, zręczniejsi niż flegmatyczni Niemcy. Może jednak ta bezwzględna mniejsza ilość wypadków u nas pochodzi ztąd, że proch i pozwolenie na broń są u nas mniej dostępne i mniej wskutek tego Polaków poluje. W każdym razie bądźmy ostrożni! Z bronią nabitą nigdy nie wraca się do domu, w liczniejszem towarzystwie nie należy nigdy znajdować się z kurkami odwiedzionemi, z nabojami nie wyciągniętemi, w kierunku, gdzie się ludzie znajdują, nigdy strzelać nie należy bez względu na odległość. Nadewszystko nie należy brać za złe przypominania o ostrożności ze strony współtowarzyszów na polowaniu, boć każdemu służy prawo zabezpieczać się przed cudzą nieoględnością, skoro idzie o życie.

Tępienie wilków we Francyi. Nikt by nie pomyślał, żeby we Francyi, kraju tak wysoce cywilizowanym, padały jeszcze rocznie setki wilków. Lecz oto ministeryum rolnictwa opublikowało świeżo wykaz zabijanych rok rocznie wilków, począwszy od r. 1883.

Wykaz ten reprodukujemy poniżej:

1883 r. —	1316	wilków	1891 r. —	404	wilków
1884 r. —	1033	„	1892 r. —	327	„
1885 r. —	900	„	1893 r. —	261	„
1886 r. —	760	„	1894 r. —	245	„
1887 r. —	701	„	1895 r. —	249	„
1888 r. —	505	„	1896 r. —	171	„
1889 r. —	515	„	1897 r. —	189	„
1890 r. —	461	„	1898 r. —	197	

Z powyższego wykazu widzimy, że liczba wilków począwszy od roku 1883 aż do 1896 włącznie prawie stale się zmniejszała. Dopiero znów w latach 1897 i 1898 widocznym jest przyrost.

Według departamentów najwięcej wyniszczono w roku 1898 w dep. Charente — 34 wilków; dalej idzie Dordogne—32; Haute-Vienne—27; Meurthe-et-Moselle—22; Vienne—19; Meuse—18; Vosges—10. Suma nagród, wypłaconych przez rząd za wilki, wynosi na 18 8 r.—13,080 fr.

Niedźwiedź otruty alkoholem. Przez wioskę Kanditten, w Prusach wschodnich (książęcych), przechodził niedawno niedźwiednik—cygan z przepysznym egzemplarzem „mysia." Po „przedstawieniu" udał się cygan z niedźwiedziem do oberży, ażeby dla siebie i swego kudłatego towarzysza zamówić obiad. W oberży zastał właśnie gromadę chłopów, którzy zaraz poczęli rozbierać kwestyę, ileby też „myś mógł wypić." Uzyskawszy zezwolenie cygana na „próbę," poprosili oberżystę, żeby zastawił dla mysia wielką kadź piwa. Niedźwiedź raczył się trunkiem Gambrynusa z widocznem zadowoleniem, to też dolewano mu ciągle, zwłaszcza, że zachowywał się spokojnie. Musiał jednak „myś" przebrać miarkę, bo następnego dnia rano znaleziono go bez życia na legowisku.

PRZELOTY PTAKÓW

I BIOLOGIA.

6 marca. Kuropatwa szara (*Perdix cinerea*) zaczęła rozbijać się na pary.

9 marca. Pojawiły się pierwsze czajki (*Vanellus vanellus*).

12 marca. Nalot gołębi siniaków (*Columba oenas*).

13 marca. Widziano w Willanowie pojedynczego żórawia (*Grus cinerea*).

Przelot krzyżówek (*Anas boschas*).

17 marca. Widziano w Wilianowie pierwsze stada dzikich gęsi (*Anser sp?*).

18 marca. Przelot cyranek (*Querquedula querquedula*).

20 marca. Przelot drozda śpiewaka (*Turdus musicus*).

21 marca. Przelot drozda rdzawobokiego (*Turdus iliacus*). Pojawiają się pierwsze bociany (*Ciconia ciconia*). Przelot cyraneczki (*Nettion crecca*).

Strzelanie do gołębi.

Monte Carlo.

28 lutego. *Prix de Roquebrune* (handicap). 1) P. Vernon Barker (27½ m.) — 17|17 — 1150 fr. 2) P. Nikolenko (25½) — 16|17—425 fr. 3) P. Ginot (23½ m.) —11|12—275 fr.

2 marca. *Prix du Mont Agel*. Dystans 26½ m. Pp. Vernon Barker i Harold Barker podzielili się pierwszą i drugą nagrodami w sumie 1325 fr., zabiwszy 6|6 każdy. O trzecią nagrodę ubiegało się czterech konkurentów, z których utrzymali się pp. Blake i hr. Filippi, podzieliwszy się tą nagrodą w sumie 225 fr.

3 marca. *Prix de la Condamine* (handicap). Pp. wice-hrabia d'Hauterive (23 m.) i Demonts (22½ m.) podzieli się pierwszą i drugą nagrodami, w sumie 1425 fr., zabiwszy 6|6 każdy. Trzecią nagrodą w sumie 250 fr, podzielili się pp. Mackintosh i de la Chevrelière.

5 marca. *Prix de Menton* (handicap). Pierwszą i drugą nagrodami (1850 fr.) podzielili się pp. baron de Tavernost (22½ m.) i hr. de Robiano (20 m.). III ą nagrodę (400 fr.) wziął p. Blake (22 m.)

7 marca. *Prix d'Eze* (dystans 27 m.). 1) Pp. Harold Barker i baron de Molembaix podzielili się pierwszą i drugą nagrodami w sumie 1,650 fr., zabiwszy 6|6 gołębi każdy. 2) Pp. Roberts i Blake podzielili się trzecią nagrodą w sumie 300 fr., zabiwszy 5|6 gołębi każdy.

8 marca. *Prix de l'Hermitage* (handicap). 1) Pp. Vernon Barker (28½ m.) i hr. de Robiano (21 m.) podzielili się pierwszą i drugą nagrodami w sumie 675 fr., zabiwszy 13|13 gołębi każdy. 1) P. Blake (22 m.) wziął trzecią nagrodę (175 fr.), zabiwszy 12|13 gołębi.

9 marca. *Prix de la Turbie* (handicap). Pp. Thome (23 m.) i Blake (22 m.) podzielili się pierwszą i drugę nagrodami w sumie 1,050 fr., zabiwszy 7|7 gołębi każdy.

10 marca. *Prix Supplémentaire* (handicap). 1) P. Benn (22 m.)—12|12—575 fr. 2) Pp. Harold Barker (28½ m.) i Demonts (23 m.) podzielili się drugą i trzecią nagrodami w sumie 575 fr., zabiwszy 11|12 gołębi każdy.

12 marca. *Prix de Laghet* (handicap). 1) P. Mackintosh (30½ m.)—6|6 1,225 fr. 2) Pp. Vernon Barker (28½ m.) i baron de Montpellier (22 m.) podzielili się drugą i trzecią nagrodami w sumie 800 fr., po uprzednim rozstrzeliwaniu się z p. Guthrie, który odpadł przy trzecim gołębiu.

14 marca. *Prix du Cap Martin* (handicap). Pp. Roberts (28½ m.) i Thome (23 m.) podzielili się pierwszą i drugą nagrodami w sumie 1,575 fr., zabiwszy 7|7 gołębi każdy. P. Wilder (22 m.) wziął trzecią nagrodę (300 fr.), zabiwszy 6|7.

16 marca. *Prix du Cap St. Jean* (handicap). Pp. Demonts (22½ m.) i Wilder (22 m.) podzielili się pierwszą i drugą nagrodami w sumie 1,400 fr., zabiwszy 6|6 gołębi każdy. Baron de Molembaix (29 m.) zdobył trzecią nagrodę (250 fr.), zabiwszy 5|6 gołębi.

17 marca. *Prix Supplémentaire* (handicap). Pp. Robinson (27 m.) i Demonts (23 m.) podzielili się pierwszą i drugą nagrodami w sumie 900 fr., zabiwszy 8|8 gołębi każdy. Trzecią nagrodę (150 fr.) zdobył p. H. Barker (28½ m.), zabiwszy 7|8 gołębi.

19 marca. *Prix des Roses* (dystans 27 m.). 1) P. Journu—950 fr.—11|11. 2) P. Harrison—300 fr.—10|11. 3) P. Hans Marsch—200 fr.—9|10. W puli tej z Polaków strzelał hr. Zamoyski.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W kwietniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), słonki (na ciągu), kaczory, a od 1 (14) na wszelkie ptactwo przelotne.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu T. Dachowskiemu w Leśkowej. Prenumerata za rok 1899 jest już uregulowana. Nadesłane 7 rub. stanowią prenumeratę za cały rok bieżący.

Panu T. Minczewskiemu w Lachowiczach. Prenumerata opłacona do 1 października b. r. Komplety z roku zeszłego jeszcze mamy i odstępujemy je naszym prenumeratorom po 4 rub. 50 k. łącznie z przesyłką.

Treść Nr. 7 „ŁOWCA POLSKIEGO"

Rada Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa

Podaje do wiadomości, iż w dniu 22 marca (4 kwietnia), o godz. 8 wieczorem, odbędzie się Ogólne Zgromadzenie Członków Oddziału, oraz, że porządek dzienny tegoż Zgromadzenia obejmować będzie:

1. Wybór Prezesa Oddziału,
2. Balotowanie kandydatów na Członków Rzeczywistych – i
3. Załatwienie innych bieżących interesów.

Sekretarz Oddziału **R. Więckowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Марта 1900 г.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.